

FAYRENE PRESTON

Uwierz mi

## PROLOG

Des. Imię kuzyna przerwało ciszę mroźnego, zimowego poranka i wdarło się w świadomość Kit Baron.

Nie broniła się przed tym. Wiele by dała, żeby było inaczej, ale Des Baron zawsze był w jej myślach. Szczególnie gdy, tak jak teraz, spędzała czas w rezydencji na ranczu.

Jak zjawa, która majaczy w ciemności, Des - ciemnooki, zagadkowo uśmiechnięty, wysoki i silny - zdawał się unosić w powietrzu i czekać na sposobność pojawienia się. To było jak szaleństwo, wiedziała o tym, ale nie umiała się powstrzymać. Nauczyła się jedynie jakoś to znosić. Oddychała swobodniej tylko wtedy, kiedy Des akurat gdzieś wyjechał.

Szła do schowka z siodłami, pod stopami chrzęścił żwir. Przeniosła myśli w jakiś inny rejon. Na horyzoncie pojawiła się pierwsza łuna wschodzącego słońca, a mimo to na ranczu praca trwała już od kilku ładnych godzin. W nocy wiał chłodny wiatr, ale po wschodzie słońca na pewno się ociepli. Zresztą Kit nie przeszkadzało zimno. Lepiej jej się wtedy myślało.

Kochała zimowe poranki na ranczu B&B, choć musiała przyznać, że w ogóle nie było dnia czy pory roku, której by nie lubiła. Taka już się urodziła. Ona i jej siostry zostały wychowane twardą ręką, a mimo to nie straciły wrażliwości. Kit już w dzieciństwie głęboko się zakochała w tej ziemi, a Tess i Jill wybrały inną przyszłość. Obie chciały jak najszybciej się stąd wynieść i szukać szczęścia gdzie indziej. Teraz, kiedy nie było już ich ojca, Edwarda Barona, Kit zdążyła odcisnąć na ranczu własne piętno i był to jej dom, bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Odpowiadała jej dzikość i dziewiczość tej ziemi. Była nie - oswojona i nieujarzmiona mimo wszelkich ludzkich wysiłków. To było jej własne, osobiste królestwo. Identyfikowała się z nim.

Była już blisko stajni. Przyspieszyła kroku.

Schówek na siodła to było jedno ze stałych miejsc w jej życiu. Jako dziecko chowała się tutaj przed dominującym ojcem i marzyła o szczęśliwszym życiu.

Jednak nawet to wspomnienie wiązało się z Desem. Pewnego letniego wieczora, kiedy miała siedemnaście lat, uciekła tutaj po awanturze z ojcem, który słowami bardzo ją zranił, niemal rozdarł na strzępy. Nie pamiętała nawet, o co się pokłócili. Ale pamiętała Desa Barona.

Usłyszał jej płacz, gdy wchodziła do schowka. Poszedł za tym dźwiękiem i znalazł ją na podwyższeniu w najdalszym kącie. Bez słowa wziął w ramiona. Wkrótce uspokajające głaskanie zmieniło się w natarczywe pieszczoty, a szept w pocałunki. Gdyby jej wtedy nie odsunął od siebie w którymś momencie...

Jednak tak właśnie zrobił. Tego wieczora pomyślała, że Des jest dla niej bardziej niebezpieczny niż ktokolwiek inny. Z zadziwiającą łatwością potrafił wywołać ogień pożądania, w obliczu którego wszystko inne stawało się nieważne, potrafił rzucić na nią czar tak, że poza nim świata nie widziała.

Nie mogła na to pozwolić. Żyjąc pod twardą ręką ojca, przyrzekła sobie kiedyś, że więcej nie da się zdominować żadnemu mężczyźnie. Raz w życiu to aż nadto jak na jedną kobietę. Dlatego wzięła udział w idiotycznej rywalizacji z siostrami o to, która z nich złowi Desa na męża. Chodziło o interesy. Było to zgodne z wolą ojca oraz dawało kontrolę nad rodzinną firmą, Baron International. Jednak prywatnie pozostała bardzo nieufna w stosunku do Desa.

Dlaczego on ciągle zajmuje jej myśli?

Weszła do stajni i włączyła światło. Spojrzała w stronę szerokiego pomieszczenia między przegrodami. Nagle owiał ją słodki aromat siana i słomy, znajomy zapach skóry i koni.

Od najwcześniejszego dzieciństwa te zapachy kojarzyły się jej z domem, pasją, bezpieczeństwem.

Słyszała Dię ruszającego się niespokojnie w swojej zagrodzie, wierzgającego i parskającego nerwowo. Coś go musiało rozdrażnić.

Ściągnęła brwi. Podeszła do lodówki, wyjęła z niej jabłko. Zdjęła uździenicę Dii z haka i pospieszyła do jego przegrody. Wyciągnął do niej szyję, zarżał cicho na powitanie.

- Dzień dobry, Dia - przywitała go ciepło, dała mu jabłko i pogłaskała po karku. - Co się dzieje, chłopcze? Czyżby dostał się tu któryś ze stajennych kotów i cię nastraszył? A może po prostu nie możesz się doczekać porannej przejażdżki?

Ona sama nie mogła się doczekać. Kiedy Des był w domu, zawsze była napięta jak struna. A on przyjechał ostatniej nocy.

Podrapała Dię za uszami. Miała nadzieję, że uspokoi go jej obecność i codzienna rutyna.

Dia był pięknym ogierem z blond ogonem i grzywą. Imię Dia, od Diabło, nadał mu poprzedni właściciel, który przestrzegał przed kupnem „diabła wcielonego”. Jako żrebak Dia trafił w złe ręce, dlatego nienawidził teraz mężczyzn. Kiedy go zobaczyła, zdecydowała się kupić go, niewiele myśląc.

Dwie trzecie swojego życia spędziła w cieniu ojca, złego człowieka. W porównaniu z nim Diabło był łagodny jak baranek, choć nikt inny w B&B nie podzielał jej opinii. Z drugiej strony nikt go nie rozumiał tak, jak ona. Niektórzy mężczyźni mają zdolność druzgotania duszy innym. Dusza Dii została zdruzgotana, a ona go przywróciła do życia.

Otworzyła drzwi do boksu i weszła do środka. Dia tańczył w miejscu z niecierpliwością.

- Wiem, mój ty piękny - mruknęła do niego, zakładając mu uździenicę.

Kochał ich poranne przejażdżki nie mniej niż ona. To była godzina, którą zawsze spędzali razem, tylko oni, wiatr i ziemia pod kopytami. Jednak tego ranka niecierpliwił się nie tylko z powodu przejażdżki. Było coś jeszcze.

Rozejrzała się uważnie, po czym wyszła jeszcze raz, po łopatę. Przerzuciła słomę. Nie znalazła nic podejrzanego.

Wyprowadziła Dię z boksu. Niespokojnie grzebał kopytem w piasku. Inne konie, wyczuwając jego nastrój, zaczęły się ruszać i parskać.

- Czekałem na ciebie. Szorstki głos wywołał chłodny dreszcz, który przeszedł jej po plecach. Obróciła się na pięcie i stanęła przed Codym Limanem, który wyszedł z pustej przegrody o troje drzwi dalej. Nagle zrozumiała przyczynę nerwowości Dii.

- Co ty tu robisz? Zwykle żaden mężczyzna nie wchodził do stajni, nim ona wyprowadziła Dię.

- Już powiedziałem. Czekam na ciebie. Musimy porozmawiać.

Cody był niewysokim, ale muskularnym mężczyzną przed trzydziestką. Miał ciemne, kędzierzawe włosy. Pracował na ranczu od jakichś ośmiu miesięcy. Kilkakrotnie znalazł się w grupie osób, z którymi Kit wybrała się na tańce. Poprzedniego wieczoru przypadkowo złożyło się tak, że na zabawę pojechali tylko we dwoje. Jednym z helikopterów używanych na ranczu polecieli do najbliższego miasta, gdzie, jak usłyszała, miał grać jakiś dobry zespół. Przez krótki czas na początku Kit nawet nieźle się bawiła, ale Cody za dużo wypił i zaczął się do niej przystawiać. Zmuszona była skrócić zabawę.

Teraz mu się przyglądała. Była zirytowana, że wdarł się tutaj. Z samego wyglądu sądząc, w ogóle nie kładł się spać, a bełkotliwe słowa świadczyły o tym, że po powrocie na ranczo pił dalej.

Zarządzała B&B, więc od niej zależało to, co się tu działo. Czasami miała ochotę przekroczyć cienką linię między szefem a kobietą, ale nie wolno jej było zapominać o swojej pozycji. Nigdy nie może zapominać, kim jest.

Kierowała się dwiema zasadami. Grała tylko z tymi, którzy mieli świadomość jej gry, i nigdy nie pozwalała sprawom przybrać zbyt poważnego obrotu. Wydawało się jej, że Cody rozumiał te reguły. Myślała, że wspólny wieczór na zabawie pozwoli jej oderwać myśli od Desa i zastanawiania się, czy już jest w domu. Pomyliła się.

Poprzedniego dnia rano odebrała nieoczekiwaną wiadomość. Des informował ją, że przyłeci, bo chce się z nią zobaczyć. Spanikowała. Dlatego postanowiła znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Próby unikania Desa przez lata stały się niemal odruchowe. Setki razy wybierała się na tańce z wieloma różnymi mężczyznami z rancza. Ale już nigdy więcej. Choćby z powodu takich sytuacji jak ta z Codym. Nauczyła się w końcu, że to nierozsądne.

- Wyjdź stąd, Cody. Dia się denerwuje.
- Tego szatana wszystko denerwuje.
- Nie wiem, gdzie masz pracować dziś rano, ale na pewno nie tutaj.

Chociaż zdarzały się wyjątki, tylko starzy, zaufani pracownicy zajmowali się zadaniami w głównej części gospodarstwa, składającej się z dwóch domów i budynków gospodarczych.

- Idź wytrzeźwieć, a potem zabieraj się do roboty. Zniknęła na chwilę i wróciła z przyborami do oporządzenia konia.

Cody złapał ją za łokieć.

- Nie ma mowy, skarbie. Robię sobie dzisiaj wolne. Poza tym, przecież jestem z szefem.

Trzymał ją tak mocno, że czuła ból.

- Cody, jesteś pijany. Idź stąd i zrób, co ci powiedziałam.

- Nie mów mi, co mam robić! Nie jestem jakimś zwykłym posługaczem na ranczu. Wczoraj między nami zaskoczyło. Nigdzie nie pójdę, póki nie wyjaśnimy sobie pewnych rzeczy.

Odskoczyła i podeszła do Dii. Dotyk jej dłoni trochę go uspokoił, ale przez jego skórę wciąż przechodziły dreszcze. Błyskał białkami.

- Nie ma nic do wyjaśniania. Wczoraj dobrze się bawiliśmy do momentu, gdy zacząłeś za dużo pić. To się już nie powtórzy.

- Wczorajszy wieczór był wyjątkowy, dobrze o tym wiesz. A potem mnie odprawiłaś. To nie w porządku. Między nami może się wydarzyć coś cudownego, jeśli na to pozwolisz.

Westchnęła z rozdrażnieniem.

- Czy ja mówię w obcym języku? Posłuchaj mnie. Nic się między nami nie wydarzy.

- No, już, skarbie. Jesteś dzika, ale ja już się zdecydowałem. To ja będę tym, który cię poskromi.

- Poskromi? Mówisz poważnie?

Szczotkowała Dię dwiema rękami, by szybciej uporać się z oporządzeniem konia.

- Posłuchaj, Kit. Chcę tylko jeszcze raz gdzieś z tobą pójść. Co w tym złego? Możemy się dobrze bawić. I mielibyśmy okazję poznać się lepiej.

- Zrób sobie przysługę, Cody. Zejdź mi z oczu... Natychmiast. Próbowała mówić spokojnie, ale Dia musiał usłyszeć coś niepokojącego w jej głosie. Cofnął się, wierzgnął zadnimi nogami i znowu zaczął drzeć ziemię kopytami.

- Spokojnie, chłopcze. Nic się nie dzieje - uspokajała go. Narzuciła mu na grzbiet koc i poklepała uspokajająco. Kiedy wróciła z siodłem w dłoniach, Cody zatarasował jej przejście.

- No, chodź, myszko - powiedział łagodnie i złapał ją za ramiona. - Wczoraj byliśmy tak chętni. Ty też byłaś chętna.

Jego dotyk wywołał w niej falę szczerego gniewu.

- Ręce przy sobie albo gorzko tego pożałujesz. Odepchnęła go. Ciężar siodła sprawił, że zatoczył się do tyłu, ale zaraz odzyskał równowagę. Odwróciła się i zza pleców dotarł do niej ryk gniewu. Nim zdążyła na to zareagować, naparł na nią od tyłu całym ciałem. Bez tchu upadła na siodło.

Dia zarżał dziko, cofnął się. Kit nie mogła mu w tej chwili pomóc. Przetoczyła się z siodła na bok właśnie wtedy, gdy położył się na niej Cody.

- Złaż ze mnie, bydlaku.

- Nie ma mowy, skarbie. Teraz jesteś moja. Pocałował ją z taką siłą, że poczuła w ustach krew. Zmusiła się do zachowania spokoju. Kiedy poczuła, że jego uścisk zelżał, kopnęła go kolanem w podbrzusze. Jęknął i stoczył się na bok.

Zerwała się na równe nogi. Starta krew z warg.

- Odbierz swoje pieniądze i znikaj stąd. Masz czas do południa. Już tu nie pracujesz.

Cody jęknął jeszcze raz.

Szybko osiodłała Dię i wyprowadziła go na zewnątrz. Kiedy tylko go dosiadła, koń ruszył do przodu. Ściągnęła lejce, próbując zmusić go do wolnego kłusa.

- Spokojnie, chłopcze. Najpierw się rozgrzejmy. Wysunęła włosy spod kołnierza marynarki. Mijali Właśnie sąsiednią stajnię, gdy zobaczyła Tio, jednego z najdłużej pracujących na ranchu kowbojów. Uniosła rękę w powitalnym geście.

- Kit? - zawołał. - Coś się stało? Wyglądasz z samego rana jak burza gradowa.

- To z powodu faceta; który nie rozumie słowa „nie”.

- Aha. Mam się nim zająć?



- Nie. Poradziłam sobie. Zostawiła zabudowania za sobą, a wtedy pozwoliła Dii przejść w cwał, potem stopniowo w niezbyt szybki galop. Kiedy uznała, że już się dobrze rozgrzała, poluzowała lejce i dała się ponieść wiatrowi.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ostrożnie, by nie urazić skaleczonej wargi, Kit napiła się gorącej kawy. Siedziała wygodnie w swoim bujanym fotelu, z obiema nogami zarzuconymi na barierkę werandy. Wzrok utkwiała w jeziorze. Bryza delikatnie marszczyła powierzchnię wody, a słońce zmieniało ją w płynne srebro.

Nie zamierzała jechać aż tak daleko. Zwykle pozwalała Dii galopować tylko jakieś czterysta metrów, po czym zwalniała do cwału i jechała kolejne czterysta metrów, a potem wracali na ranczo.

Ale tego ranka żadne z nich nie chciało wracać. Dlatego przedłużyła czas spędzony z dala od czekających na nią spraw i skierowała Dię w stronę małej chatki na urwisku, nad największym jeziorem na terenie B&B. Teraz bardzo się z tego cieszyła.

Jeśli chodzi o Dię, to on nigdy nie chciał wracać na ranczo. A dziś i ona była wytrącona z równowagi incydem z Codym. Przypominała sobie tych kilka chwil, które spędzili razem przy różnych okazjach. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że tak na niego działa i że on tak może odbierać jej zachowanie.

Cody był nowy na ranczu i słabo ją znał. Byli sami...

Westchnęła. Teraz widziała jak na dłoni, że popełniła błąd, zapraszając go na wyprawę do miasta. Jednak co się stało, to się nie odstanie. Rozważania po fakcie były zupełnie bezcelowe.

Pociągnęła kolejny łyk kawy i rozejrzała się dookoła. Chatka nad jeziorem należała do jej ulubionych miejsc. Wybudowała ją zaraz po śmierci ojca, wraz z zagrodą i małą stodołą. W ten sposób spełniło się jedno z jej marzeń. Nie było tu telefonu, nikt jej nie zawracał głowy. Często ona i Dia przyjeżdżali tu w letnie wieczory. Pływała w jeziorze,

zostawała na noc w chatce, a następnego ranka, po kolejnej kąpieli, wracała do domu.

Popatrzyła na taflę jeziora. Niestety, tego ranka było zdecydowanie za zimno na kąpiel. Zresztą zrobiło się późno i powinna wracać.

Jej rozmyślania przerwał dobiegający z oddali dźwięk silnika. Zaciekawiona wstała i wyjrzała zza rogu długiej werandy. Dźwięk dochodził z południa, czyli od strony jej rezydencji.

Osłoniła oczy przed słońcem. W stronę chatki zbliżał się samochód w tempie, które oceniła na zbyt szybkie. Za nim unosiła się wielka chmura pyłu.

Zesztywniała. Czy to na pewno nie Cody? Czy to, co się zdarzyło w stajni, wystarczy, żeby dał jej spokój?

To była furgonetka. Kiedy pojazd jeszcze trochę się zbliżył, widziała to jak na dłoni. Taką wuj William dał swojemu synowi, Desmondowi, kiedy ten skończył studia prawnicze.

Krew zaczęła jej szybciej krążyć w żyłach. Ściągnęła brwi.

Jeśli to rzeczywiście Des, to czemu jej tu szuka? Czy rozmowa z nią była tak pilna, że musiał przyjechać aż tutaj?

To musi być on. Żaden inny mężczyzna z B&B nie ośmieliłby się jeździć tutaj samochodem z taką szybkością. Ale od śmierci wuja Williama cztery miesiące temu, Desmond Baron był właścicielem połowy całego imperium Baronów. Mógł robić, co mu się żywnie podoba.

Westchnęła, odstawiła kubek z kawą na poręcz i wyszła na powitanie.

Gdyby Des wychowywał się w mieście, pewnie byłby tylko banalnie przystojny. Ale ponieważ dorastał na rozległym ranczu, zdobył wiele umiejętności, zanim skończył czternaście lat. Z czasem surowe, spędzane na świeżym powietrzu życie

przydało mu szorstkości. Miał grube, ciemne włosy zaczesane do tyłu i małe baczki. Brązowe oczy patrzyły ostro i przenikliwie jak oczy jastrzębia. To spojrzenie, połączone z inteligencją i wyrazistą osobowością, pozwalało mu dominować w każdej sytuacji, bez względu na to, czy znajdował się na sali sądowej, gdzie zdobył sobie opinię najtwardszego i najsprytniejszego obrońcy w kraju, czy na ranczu, gdzie każdy patrzył na niego z szacunkiem. Był równie twardy i wytrzymały jak ziemia, na której oboje wzrastali.

Wysiadł z samochodu, a jej serce drgnęło. Nie widziała go od chwili, gdy po pogrzebie wuja Williama odczytany został testament. Teraz Des miał na sobie opięte dżinsy, znoszone buty, a pod kamizelkę z owczej skóry włożył piękny sweter w kolorze świerkowej zieleni. Wyglądał na ręcznie robiony. Mimowolnie zaczęła się zastanawiać, czy zrobiła go dla niego jakaś kobieta.

Jego dom rodzinny znajdował się półtora kilometra od jej domu. Od najwcześniejszego dzieciństwa miała więc niezliczone okazje do obserwowania go. W jego życiu zawsze były kobiety. Wspaniałe kobiety, które gotowe były zrobić dla niego wszystko. Oczywiście nigdy za nimi nie przepadała.

Lekki wietrzyk drażnił jej nozdrza zapachem jego skóry i wody kolońskiej. Des zatrzymał się przed nią. Zabawne. Znała jego zapach na pamięć. Wbił się jej w głowę od chwili, kiedy była tak blisko niego. I choćby nie wiadomo jak próbowała, nie mogła się go pozbyć. Tak jak niczego innego, co dotyczyło Desa.

- Dzień dobry, Kit.

- Dzień dobry - odpowiedziała, udając spokój.

Czuła się tak, jakby jego brązowe oczy wwiercały się w jej serce, a głęboki głos rozbrzmiewał echem w głowie. Nic dziwnego, że wygrywał większość swoich spraw. Nie dalej

jak tydzień temu czytała o jego ostatnim procesie, który skończył się, jak zwykle, zwycięstwem jego klienta. Rzadko się zdarzało, by pokonał go prawnik drugiej strony.

- Co ty tu robisz? Przez chwilę milczał zapatrzony w jej rude włosy.

- Powinnaś założyć sobie tutaj telefon. Jej uwagi nie umknął fakt, że nie odpowiedział na jej pytanie.

- Zwykle nie zostaję tu długo.

- Jednak na wszelki wypadek powinnaś zabierać ze sobą chociaż komórkę.

Łagodny ton jego głosu w ogóle nie kojarzył się z sądem i narzucaniem swojej woli. A mimo to broniła się przed nim.

- Ja tu naprawdę rzadko przyjeżdżam - powiedziała i ręką wskazała teren dookoła. Ten gest sprawił, że jej marynarka się rozchyliła, ukazując opięty sweterek. Des wlepił wzrok w jej biust. - Zresztą ranczo nie przestanie funkcjonować, jeśli od czasu do czasu nie będzie mnie przez kilka godzin.

- Nie chodziło mi o ranczo. Myślałem o tobie. Co by było, gdybyś miała wypadek i potrzebowała pomocy?

Wsunęła ręce do kieszeni marynarki.

- Moi zarządcy wiedzą, gdzie jest ta chatka, i znają moje zwyczaje. Gdybym nie wracała dłużej niż zwykle, natychmiast ktoś by tu przyjechał.

- Co ci się stało w wargę? - zapytał. Dotknęła skaleczenia. Wargę wciąż była lekko spuchnięta.

- Musiałam się ugryźć.

- Musiałaś? - Nie spuszczał z niej przenikliwego spojrzenia. - Nie jesteś pewna?

- Ugryzłam się. Nie chciała zdradzić prawdy. Wciąż miała uczucie, że mogła poradzić sobie z Codym lepiej, że to wszystko jej wina.

- Dość mocno. - Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął skaleczenia. - Wygląda na świeżą ranę.

Poczuła uderzenie gorąca. To było dokładnie to samo uczucie, co tej letniej nocy dawno temu, kiedy wziął ją w ramiona. Dlaczego nie potrafi o tym zapomnieć? Odchyliła głowę i umknęła przed jego dotykiem.

- Nic mi nie jest. Gestem najnaturalniejszym w świecie odsunął jedną z klap jej marynarki, odsłaniając znowu sweter.

- Czy to twoja krew?

Spojrzała w dół. Nie zdawała sobie sprawy, że warga krwawiła aż tak mocno. Niech diabli wezmą tego Cody'ego.

- Po co tutaj przyjechałeś? Trzeba było spokojnie czekać, właśnie miałam wracać.

Z szybkością, która niemal zaparła jej dech w piersiach, zrobił krok do przodu, przesunął dłonią po jej policzku i zmusił, by na niego spojrzała.

- Kit, czy gdybyś miała kłopoty, tobyś mi o nich powiedziała? Jego gest i pytanie tak ją zaskoczyło, że straciła rezon. Czowała tylko ciepło idące od jego dłoni.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Czy masz kłopoty? Bo jeśli tak, to ci pomogę.

Nie była w stanie pozbierać myśli. O co mu chodzi? Dowiedział się o jej kłótni z Codym? Nie, raczej nie. Przecież wszystko odbyło się w cztery oczy.

- Po co tu przyjechałeś, Des?

- Jesteś potrzebna na ranczu.

- Dlaczego? Nie mam żadnych umówionych spotkań. - Intuicja podpowiadała jej, że nie powinna wypytywać Desa, więc dodała: - Zresztą nieważne. I tak miałam już wracać. Muszę tylko wszystko pozamykać.

- Poczekaj. Surowy ton głosu sprawił, że stanęła. Spojrzała na niego ostrożnie. Zawsze starała się trzymać od Desa z daleka, ale nawet ona wiedziała, że nie zachowuje się normalnie.

- O co chodzi?

- Kit, ktoś zginął.

- Och, nie! Kto? Śmierć na ranchu zdarzyła się nie po raz pierwszy. Praca z dużymi zwierzętami oraz ciężkim sprzętem stwarzała, niestety, wiele okazji do wypadków.

- Cody Inman. Zesztywniała. Jak to możliwe? Po jej wyjeździe miał nawet nie wracać do pracy, tylko odebrać pieniądze i wyjechać.

- Cody Inman? - powtórzyła dla pewności. - Ależ ja go widziałam na chwilę przed przyjazdem tutaj.

- Tio też tak powiedział. Zaraz po twoim odjeździe Tio poszedł do stajni i znalazł ciało w jednej z pustych przegród. Ponieważ cię nie było, przyszedł do mnie. Wezwałem szeryfa, a potem przyjechałem tutaj, po ciebie.

- To straszne. Cody ją napastował, ale mimo to czuła żal i smutek. Jeszcze ostatniej nocy tyle w nim było życia. Tańczył i śmiał się razem z nią. A potem zaczął pić. I wreszcie dzisiejszy poranek...

- Jak zginął?

- Nie wiesz? Spojrzała na niego kompletnie zdumiona.

- A skąd miałabym wiedzieć? - Nic na to nie odpowiedział. - Des? Jak on zginął?

- Zdaje się, że od ciosu w głowę jakimś tępym narzędziem, na przykład łopatą.

Poczuła, że powietrze uchodzi z niej jak z przekłutego balonika.

- Chcesz powiedzieć, że Cody został zamordowany?

- Tak.

- Nic nie rozumiem. Jak coś takiego mogło się stać?

- Właśnie o to chce cię zapytać szeryf.

- Dobrze. Pozamykam tylko i zaraz jadę.

- Nie. Zostaw Cię i chodź ze mną. Przyślemy kogoś po konia.

- Czy to naprawdę konieczne?

- Szeryf chce z tobą rozmawiać. - Przerwał na chwilę, po czym dodał: - Czy teraz powiesz mi wreszcie, jak skaleczyłaś wargę?

Nie powiedziała mu. Przez większą część drogi do domu Des milczał. Jej to odpowiadało. Zrelacjonowała mu wypadki poprzedniego dnia i poranka ogólnie, w zarysach, bez szczegółów. Nie była specjalnie dumna ze swojego zachowania podczas porannej konfrontacji z Codym. Straciła nad sobą kontrolę.

Nie przestawała myśleć o Codym i o tym, jak zginął. W jej głowie rodziły się możliwe scenariusze wydarzeń. Za nic nie potrafiła jednak wymyślić czegoś sensownego.

Również Des zajmował sporo miejsca w jej myślach. Próbowwała go ignorować, zmuszając się do śledzenia zmieniającego się pejzażu za oknem, jednak jego bliskość niezupełnie na to pozwalała. Zresztą zawsze tak na niego reagowała. Westchnęła z rezygnacją. Zaczynała już myśleć, że to się nigdy nie zmieni.

Kiedy w końcu dojechali na miejsce, odetchnęła z ulgą.

Koło stajni zaparkowano kilka nie znanych jej samochodów i półciężarówek, ale rozpoznała szeryfa, którego widziała na zdjęciu w gazecie. Wysoki, tykowaty mężczyzna przed czterdziestką stał koło jednej z furgonetek i rozmawiał przez telefon komórkowy. Kiedy tylko ich zobaczył, skończył rozmowę.

- Czy miałaś już do czynienia z tym szeryfem? - zapytał Des, wyłączając silnik.

- Nie. Jeśli mamy jakieś kłopoty, staramy się rozwiązywać je sami.

Sięgnęła ręką do klamki.

- Poczekaj. Des przechylił się i złapał ją za rękę. Czuła jego ramię na swoich piersiach. Znowu zrobiło się jej gorąco.



W żaden sposób nie potrafiła zmusić swojego ciała, by na niego nie reagowało.

- Posłuchaj mnie, Kit. Szeryf nazywa się Moreno. Podobno jest bardzo ambitny. Chcę, byś powiedziała mu tylko tyle, ile wymaga absolutna konieczność. Jeśli będziesz miała wątpliwości, co powiedzieć, ja odpowiem.

- O czym ty mówisz? - Odepchnęła jego ramię. Usiadł prosto. Głos mu jednak nie złagodniał.

- Nie mów nic sama z siebie, jeśli cię nie zapyta. A jeśli dam ci sygnał, że masz nie odpowiadać na konkretne pytanie, bądź posłuszna.

Spojrzała na szeryfa, który nie spuszczał z niej teraz wzroku.

- On chce tylko, żebym mu powiedziała, co się stało.

- On chce, żebyś mu ułatwiła zadanie, przyznając się. W tej chwili jesteś jego jedyną podejrzaną.

Popatrzyła na niego wielkimi oczami.

- Przyznanie? Podejrzana? Przecież to absurd.

- Taka jest prawda. Więc uważaj, co mówisz.

- To nie ma sensu. Nagle poczuła, że się dusi. Cody nie żyje, a Des całą swoją uwagę skupił na niej. Za dużo tego wszystkiego. Kiedy wysiadała z samochodu, nogi się pod nią ugięły.

- Panno Baron. Szeryf uklonił się, dotykając brzegu kapelusza.

- Dzień dobry, szeryfie Moreno. Nerwy miała napięte jak postronki, ale nie chciała odgrywać się na nim. To w końcu nie jego wina.

- Przepraszam, że musiał pan czekać. Nie wiedziałam, że stało się coś złego, nim przyjechał po mnie pan Baron.

Des stanął obok niej. Szeryf spojrzał na niego, a potem znowu na Kit. Widziała, jak przez jego twarz przemknął cień strachu. W końcu Des był sławnym w kraju i za granicą

prawnikiem, a ona była szefową jednej trzeciej, ojcowskiej części Baron International. Jednak oficer był konkretny i nieco napastliwy.

- Przejdę od razu do rzeczy. Zdaje się, że pani jest ostatnią osobą, która widziała Cody'ego Inmana żywego.

- Nie. Ostatnim był jego morderca.

- Oczywiście. Des stał tak blisko, że czuła ciepło jego ciała. Pewnie chciał jej w ten sposób pomóc, wesprzeć, ale ona nie potrzebowała wsparcia, a już na pewno nie tego rodzaju.

Szeryf spojrział znowu na Desa, a potem na nią.

- Ujmę to w ten sposób. Wygląda na to, że pani była ostatnią osobą, która widziała Cody'ego Inmana, nim został zamordowany. Jeden z pani pomo...

- Tio. Zajrzał do notesu i kiwnął głową.

- Tio Rodriguez. Powiedział, że pani i pan Inman mieliście rano jakiś problem.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Wyrzuciłam Cody'ego z pracy. Poczula, jak Des zeszytniał. Szeryf uniósł brwi tak wysoko, że prawie schowały się pod kapeluszem.

- Wyrzuciła go pani? Czy powód był związany z pracą? Des sięgnął wolno po jej rękę i uściskał ją. Poczula drżenie w piersi. Przesłuchanie nie wytrącało jej z równowagi, natomiast Des tak.

- Nie - odpowiedziała niecierpliwie, chcąc jak najszybciej znaleźć się z dala od obu mężczyzn. - Powód był natury osobistej.

- Jak to?

- Nie musisz odpowiadać, Kit.

Ostry ton głosu Desa jeszcze bardziej napiął jej nerwy. Odpowiedziała bardzo szybko:

- Wczoraj wieczorem wyszliśmy razem i...

- Pani i pan Inman? Tylko we dwoje?
  - Tak.
  - I co się stało?
  - Wyrażę to najprościej, jak się da, szeryfie. Cody chciał więcej, niż ja chciałam dać.
  - Kit...
  - Czy pani i pan Inman się o to pokłóciliście?
  - Kit! Nie odpowiadaj. Spojrzała na niego. Miał zaciśniętą szczękę i pociemniałe oczy.
  - Nie mam nic do ukrycia. Owszem, Cody i ja się pokłóciliśmy. Ale czy go zabiłam? Nie!
  - Rozumiem. Zdała sobie sprawę, że szeryf jej nie uwierzył. Na B&B się nie kłamało. Nie przywykła do podawania jej słów w wątpliwość. Z drżeniem popatrzyła na twarze mężczyzn, którzy zgromadzili się wokół nich. Niektórzy mieli zakłopotane miny.
  - Czy skaleczyła się pani podczas kłótni? - zapytał szeryf, wskazując na jej wargę.
  - Cody mnie pocałował.
  - Zranił panią pocałunkiem?
  - Zgadza się. Nie zrobił tego delikatnie.
  - Aha. Rozwścieczył panią, co?
  - Bardzo mnie rozwścieczył.
  - Starczy tego. - Autorytatywny głos Desa przerwał przesłuchanie. - Szeryfie, jeśli potrzebuje pan jeszcze jakichś informacji, proszę umówić się z panną Baron za moim pośrednictwem. Kit, odprowadzę cię do domu.
- Zmusił ją do obrotu i pchnął w stronę samochodu.
- Chwileczkę! - wrzasnął szeryf. - Panno Baron, proszę przyjść do mojego biura. Muszę wziąć pani odciski palców i kontynuować przesłuchanie.
  - Przyjedzie później - rzucił przez ramię Des, nie zwalniając kroku.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Kit zatrzasnęła Desowi drzwi przed nosem.

Cholerne babsko, pomyślał. Otworzył drzwi, zaciskając pięści, żeby zachować spokój. Wszedł do środka. Znalazł ją w salonie, przy kominku.

- Z choinki się urwałaś, żeby rozmawiać z szeryfem w ten sposób?

Obróciła się w jego stronę. Zielone oczy rzucały błyskawice gniewu, a rude włosy wiły się na ramionach jak płomienie.

- Nigdy więcej tego nie rób.

- Czego? Nie chronić cię przed samooskarżeniem?

- Nie mów mi, co mam mówić, a czego nie mówić. I nigdy nie rozkazuj mi w obecności moich ludzi. Jesteś właścicielem połowy rancza, ale to ja je prowadzę.

- Posłuchaj mnie, Kit. Jeśli opowiesz wszystko szeryfowi, możesz się spodziewać aresztowania. Czemu nie zachowałaś się tak, jak ci mówiłem?

Polana za nią rozpały się już na dobre, ale ona nawet tego nie zauważyła.

- Tak, jak mówiłeś? Nieraz miał do czynienia z wrogo nastawionymi klientami, prawnikami, sędziami i ławami przysięgłych. Część jego sukcesu polegała na tym, że zawsze potrafił zachować zimną krew.

Spokój i dystans - z tego był znany. Nikt nigdy nie wyprowadził go z równowagi.

Kit to zrobiła.

Miał ochotę nią potrząsnąć. Co gorsza, nagle zdał sobie sprawę, że chciałby ją pocałować. Skąd mu się to, na Boga, wzięło?

- Kit, bez względu na to, czy masz tego świadomość, czy nie, wpakowałaś się w spore kłopoty. Nie powinnaś się tak

zachowywać tylko dlatego, że to właśnie ja dałem ci dobrą radę.

- Nie o to chodzi. Zdjęła płaszcz i rzuciła go na krzesło.

- Dokładnie o to. Przyznaj się. Nie znosisz, gdy ktoś ci mówi, co masz robić, ale ta sytuacja jest inna. Musisz to zrozumieć. Nie wiesz, co jest w tym wypadku najlepsze. A ja tak. I uwierz mi, już powiedziałaś za dużo.

- Skończ wreszcie z tym gadaniem o sobie! Kobiety, z którymi się spotykasz, muszą mieć pusto w głowie, ale ja mam mózg.

- Nie słuchasz, co do ciebie mówię. Moja praca polega na kontaktach z takimi ludźmi, jak szeryf. Znam się na tym. Pozwól mi robić swoje.

- A co ty do tego masz? Cokolwiek się stało, stało się na moim terenie. Sama się o to zatroszczę.

Pokręcił głową.

- Najgorsze co możesz zrobić, to próbować się bronić.

- Nie próbuję się bronić.

- No, to powiedz, co robisz?

- Mówię, co się zdarzyło. Mówię prawdę. Westchnął ciężko.

- Więzienia są wypełnione ludźmi, którzy powiedzieli prawdę. Na tym etapie wszystko, co powiesz, może mieć znaczenie. Nawet to, jak to powiesz. Musisz zachowywać wyjątkową ostrożność, a nie zachowałeś.

- O czym ty mówisz? Szeryf nie powiedział, że jestem podejrzana.

- Jeśli wierzysz w to, co mówisz, to znaczy, że nie słuchałeś.

- Nie bądź śmieszny. Dopiero co znaleziono ciało Cody'ego. Jest zdecydowanie za wcześnie, by szeryf podejrzewał kogokolwiek.

- Masz rację, wszystko dzieje się błyskawicznie. Nie słyszałaś nigdy o szybkich aresztowaniach?

- Oczywiście, ale...

- Według władz idealnie jest, gdy przestępca zostaje aresztowany w ciągu dwudziestu czterech godzin od przestępstwa. Potem wspomnienia świadków mogą się zatrzeć, ktoś może coś zmienić na miejscu zbrodni. Mogą się zdarzyć tysiące różnych rzeczy. Kit, musisz to brać pod uwagę. Tak mogą się potoczyć losy tego śledztwa. Niestety, wszystko jak dotąd wskazuje na ciebie.

- Nieprawda. Nie znaleźli nawet narzędzia zbrodni.

- A jeśli znajdą? I będzie to na przykład łopata albo coś innego, czego używa się w stajni? Chcesz powiedzieć, że nie będzie na niej twoich odcisków palców?

- Prawdopodobnie będą... - Przerwała w pół słowa i odwróciła się w stronę ognia. - Nie mam posrebrzanej łopaty tylko do mojego użytku, Des. Myślę, że moje odciski palców są na wszystkim w stajni.

Była elektryzująca. Czysta wściekłość i żar. Dostrzegał jednak również kruchość i delikatność. Zawsze to w niej widział. Nie raz słyszał, jak jego przybrany ojciec, William Baron, narzekał na wyjątkowo surowe wychowanie, jakie stosował wobec swoich trzech córek jego brat, Edward.

Życie na jednym ranczu dało mu okazję obserwowania jej, gdy dorastała. Jako mała dziewczynka nadaremnie próbowała walczyć z tyranią ojca. Kiedy miała kilkanaście lat, zrezygnowała i pogodziła się z życiem pod presją.

Śmierć zabrała ojca, gdy miała dwadzieścia lat. To był moment oswobodzenia. W końcu mogła robić to, co chciała. W oczach Desa przez wszystkie te lata była jak żywe srebro, jednak potrafiła przejąć rządy na ranczu. Stała się tym, kim zawsze chciała być. Problem polegał na tym, że walczyła

chyba także z samą sobą. Ze zgrozą zauważył, że obchodzi go to bardziej, niż powinno.

Wziął głęboki oddech i próbował się uspokoić, ale efekt był mizerny. Nie był w stanie wytrwać. W głębi duszy po prostu się o nią bał. Porażająca była dla niego świadomość, że najbardziej na świecie pragnie zapewnić jej bezpieczeństwo. Jak i kiedy to się stało?

- Skontaktuję się z detektywem, któremu polecę zbadanie sprawy tego Cody'ego Inmana.

- Nie bądź głupi. Nie dowiesz się o nim niczego nadzwyczajnego. To zwykły pomocnik na ranchu.

- To człowiek, który potrafił zranić swojego szefa. I to kobietę. Zapomniałaś już, do czego próbował cię zmusić?

- Oczywiście, że nie zapomniałam.

- Założę się, że jego przeszłość kryje jakieś ciemne sprawy. Dokopię się do nich. To może pomóc w czasie rozprawy.

- Rozprawy? - prychnęła. Odwróciła się gwałtownie, a jej włosy zatańczyły dookoła głowy. - Nie będzie żadnej rozprawy. W każdym razie nie ze mną w roli oskarżonej.

- Uspokój się. Po prostu próbuję przewidzieć wszystkie możliwe rozwiązania. Na tym polega mój zawód.

Zmarszczyła gniewnie brwi.

- A kto cię o to prosił?

- Do licha, Kit... Przerwał i wciągnął głęboko powietrze. Jeśli straci nad sobą

kontrolę, nie będzie w stanie jej pomóc. Niestety, przy niej tracił opanowanie z przerażającą łatwością i szybkością. Za bardzo na niego działała.

Przez większą część swojego życia świadomie trzymał się z dala od niej i jej sióstr. W testamencie ich ojca był paragraf, który mówił, że jeśli w ciągu dziesięciu lat od jego śmierci Kit lub któraś z jej sióstr nie zdobędą tego, co uważał za fortunę,

stracą swoje trzydzieści trzy i jedną trzecią procenta udziałów w Baron International. Choć Kit była najmłodsza, jej już udało się wypełnić pierwszy wymóg testamentu - zdobyła spory majątek. Jej siostry, Tess i Jill, w zasadzie też się z tym uporały.

W dodatku wszyscy wiedzieli, że jego ojczym, a brat ojca trzech sióstr, zostawi mu pięćdziesiąt procent udziałów w korporacji, co da mu kontrolę nad całością, chyba że wszystkie trzy głosowałyby zawsze przeciwko niemu.

Siostry szybko doszły do wniosku, że gdyby któraś z nich weszła w posiadanie jego pięćdziesięciu procent poprzez małżeństwo, mogłaby kontrolować Baron International. Wszystkie trzy, w tym Kit, dały się porwać szalonej grze, która polegała - na tym, by uwieść go swoimi wdziękami. Właściwie nawiązała się między nimi rywalizacja.

Większość mężczyzn byłaby zachwycona uwagą trzech pięknych kobiet, ale on, biorąc pod uwagę okoliczności, zdecydował się na powściągliwą, milczącą reakcję. Na szczęście dla wszystkich zaangażowanych gra skończyła się, gdy Tess i Jill wyszły za mąż. Zrezygnowały z wszystkiego dla miłości i zostawiły wolną drogę do niego dla Kit.

A wtedy, nagle, ona zaczęła go unikać. Nie potrafił tego zrozumieć. A nie lubił nie rozumieć. To go niepokoiło. I intrygowało.

Zresztą ona zawsze go intrygowała. Teraz, kiedy nie musiał już myśleć o zdrowiu ojca ani o żadnym procesie, zdecydował się pojechać do domu i dowiedzieć, dlaczego Kit tak się stara go unikać.

Jednak właśnie gdy postanowił ją odszukać, uprzedziło go fatum. Morderstwo postawiło ją w niebezpiecznej sytuacji. Chciał, więcej - musiał jej pomóc.

A ona wciąż nie przestawała go wprowadzać w zakłopotanie.



Odciągnęła jego myśli od sprawy najważniejszej. Teraz obchodziło go jedynie to, że Kit jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Aż drżała ze złości na niego, a mimo to nie potrafił myśleć o niczym innym, niż o pocałowaniu jej.

Uświadomienie sobie tej myśli było szokujące.

Zdjął kamizelkę i ułożył ją starannie na oparciu sofy.

- Podejźmy do tego od innej strony. Powiedziałaś szeryfowi, że Cody chciał więcej, niż ty chciałaś dać. Co dokładnie dla ciebie znaczył?

- To po prostu facet, z którym poszłam potańczyć. - Skrzyżowała ręce na piersiach i zaczęła się przechadzać po pokoju. - To nie było i nie miało być nic poważnego.

- To po co w ogóle z nim wyszłaś? Spojrzała mu prosto w oczy.

- Czy każda kobieta, z którą idziesz do kina czy restauracji, Jest dla ciebie od razu kandydatką na żonę? Czy nawet kochankę?

- Nigdy nie byłem na randce z kobietą, którą następnego ranka znaleziono martwą.

- Najwyraźniej miałeś szczęście, a ja nie. Możesz wierzyć lub nie, ale nie przyszło mi do głowy, że Cody może zostać zamordowany.

Pokręcił głową. Zdawał sobie sprawę z tego, na czym polega problem. Za bardzo się zaangażował, a na to nigdy sobie nie pozwalał w stosunku do klientów. Jednak nawet ta świadomość go nie powstrzymała.

- Twoje flirty zawsze były na granicy wymknięcia się spod kontroli. Dobrze o tym wiesz. To się nazywa igranie z ogniem. Wcześniej czy później musiałaś wpakować się w kłopoty.

Prychnęła gniewnie.

- Nie masz pojęcia o moim życiu osobistym i o tym, jak sobie radzę.

- Wiem wystarczająco dużo, Nieraz widziałem cię na parkiecie w ramionach jakiegoś gościa. Coś ci powiem, skarbie. Tańczysz tak, że każdy stuprocentowy mężczyzna w tym stanie potraktowałby to jak zaproszenie.

- To nieprawda! Miała taką minę, jakby ją uderzył, ale przynajmniej na chwilę zamilkła.

- Prawda, prawda - powiedział surowo. - Ostatni raz widziałem cię na przyjęciu. Miałaś na sobie krótką białą sukienkę i wszyscy faceci nie odrywali od ciebie wzroku.

Patrzyła na niego szeroko rozwartymi zielonymi oczami. Były piękne.

- Pamiętasz, co na siebie włożyłam?

Zmarszczył brwi. Był sobą równie zaskoczony.

- To nieważne. Wróćmy do Cody'ego. Czy tego wieczora, kiedy z nim wyszłaś, wydarzyło się coś, na podstawie czego liczył na więcej?

Wiele lat temu sam doświadczył, jak łatwo topniała w ramionach mężczyzny. Nawet teraz wystarczyło, że na nią patrzył, a z trudem opanowywał chęć porwania jej w objęcia i zanieśienia do łóżka. Ta myśl wciąż pętała mu się po głowie. Nawet nie chciał myśleć o tym, że mogła być z innym mężczyzną. Samo wyobrażenie wprawiało go we wściekłość.

- Nie wydarzyło się nic szczególnego - odpowiedziała wymijająco.

Nic szczególnego. Pewnie ich pocałunek w stajni dawno temu też zaklasyfikowałaby jako „nic szczególnego”. Do licha, prawdopodobnie ona nawet tego nie pamięta. A on tak. Nie potrafiłby o tym zapomnieć.

Podszedł do niej i złapał ją za ramię.

- Na tym polega błąd w twoim myśleniu. Ty jesteś szczególna. Patrzysz na faceta tymi zielonymi oczami,

przytulasz do niego swoje słodkie ciało. Nie ma mowy, żeby go to nie wzięło.

Nie potrafił się powstrzymać. Przyciągnął ją do siebie. Z wrażenia aż zaschło mu w gardle. Zapamiętał jej ciało, gdy miała siedemnaście lat. Wtedy ją pocałował i chciał, by ten pocałunek nigdy się nie skończył. Teraz czuł dokładnie to samo. To było kompletnie nie na miejscu, a jednocześnie zdumiewające.

- A dokładnie jak bardzo go rozpaliałaś? Szarpnęła się, próbując uwolnić się z jego objęć. Ocierały się o niego jej piersi i uda, co sprawiało, że zaczynał zupełnie tracić nad sobą kontrolę. Nagle zdał sobie sprawę, że zaraz zrobi coś zupełnie szalonego, więc gwałtownie ją wypuścił. Miał jej pomóc, a nie skrzywdzić. Musiał zachować rozsądek.

Kit wyglądała na wytrąconą z równowagi. Pocierała miejsce, gdzie ją mocno chwycił. Odsunęła się od niego,

- Jak bardzo go rozpaliałam? Miłe sformułowanie, Des. Naprawdę miłe.

Wiedział, że to nie było najszcześniejsze. Na chwilę opuściło go jego osławione opanowanie. Przeczesał włosy sztywnymi palcami.

- Wiesz, co miałem na myśli.

- Nie. W żaden sposób go nie sprowokowałam. Co więcej, naprawdę nic się nie wydarzyło. Kiedy pocałował mnie na siłę, w barze, natychmiast wróciłam do domu.

- A potem? Co się stało potem? Przyjął twoją decyzję bez protestów? .

Wzruszyła ramionami.

- Trochę się dąsał. Kiedy wróciliśmy na ranczo, zostawiłam helikopter w hangarze pod opieką jednego z chłopców i wzięłam samochód. Podjechałam pod noclegownię pracowników, jeszcze raz próbował mnie pocałować, ale mu to nie wyszło.

- Wiesz, co robił po twoim odjeździe?
- Nie mam pojęcia. Poza...
- Poza czym?
- Rano było widać jak na dłoni, że spił się na umór. W barze wypił raptem dwa piwa.
- A ty? W jej oczach błysnęła uraza.
- Nie twoja sprawa.
- Kit, ktoś cię o to zapyta. Równie dobrze to mogę być ja.
- Jedno. Wypiłam jedno piwo.
- To u ciebie normalne?
- Do czego zmierzasz?
- Czy ktoś z ludzi obecnych w barze, w którym byliście, widział cię kiedyś pijaną?
- Nie. - Teraz jej zielone oczy pociemniały z gniewu. - Czy naprawdę myślisz, że wypiłabym więcej, skoro miałam lecieć do domu?

Przez chwilę przyglądał się jej uważnie. Wierzył jej. I zastanawiał się, jakim sposobem spokojna rozmowa, jaką sobie zaplanował, zmieniła się w przepelnioną gniewem konfrontację. Po chwili odpowiedział sobie na to pytanie. Po prostu za bardzo mu na niej zależało.

- Dobrze. Powiedziałaś, że wyrzuciłaś Cody'ego przed hotelem pracowników. Czy ktoś widział cię odjeżdżającą stamtąd samą?

- Prawdopodobnie. A jakie to ma znaczenie? Odwiozłam go na nocleg.

- Jesteś zamieszana w morderstwo. Musimy prześledzić każdy twój krok i przyjrzeć się każdemu szczegółowi. Na przykład ten, kto was widział odjeżdżających spod hangaru, mógł pomyśleć, że wieziesz go tutaj. Mógł uznać, że jesteście kochankami, a jeśli szeryf coś takiego usłyszy, pomyśli, że się pokłóciliście i zabiłaś go w afekcie. To się często zdarza.

- Ale nie zdarzyło się tym razem.

- Kit, spałaś z nim?

- Nie. Ulga, jaką poczuł, była zdecydowanie zbyt duża.

- Skoro jesteś zamieszana w morderstwo, muszę sprawdzać wszystko - powiedział cicho.

- Ale ja nie jestem zamieszana w morderstwo. Znowu zaczęła chodzić po pokoju. Jej długie nogi wybijały regularny rytm na podłodze za dużą sofą, a włosy lśniły oszalamiająco.

- Jesteś zamieszana, Kit. Jesteś ostatnią osobą, która widziała Inmana żywego, przyznałaś się, że się z nim pokłóciłaś. W y - znałaś również, że doszło między wami do szarpaniny. Boże... - Znowu przeczesał palcami włosy. - Jesteś inteligentną kobietą, Kit. Od dziewięciu lat sama prowadzisz całe ranczo. Dlaczego nie chcesz zrozumieć, że masz kłopoty?

- A dlaczego ty nie zostawisz mnie w spokoju? Skrzywiła się, jakby nie podobały się jej własne słowa. Jemu zresztą też się nie podobały. Nie potrafił na nie znaleźć odpowiedzi. Szukał czegoś, co brzmiałoby choć trochę sensownie.

- Dlatego, że potrzebujesz prawnika. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, jakie to ważne.

Zatrzymała się i spojrzała na niego ostro.

- Mylisz się, jest dokładnie odwrotnie. Dostrzegam powagę sytuacji. Jeden z moich pracowników został zabity na B&B, czyli na mojej ziemi. Traktuję sprawę osobiście. Zrobię wszystko, co mogę, by ją wyjaśnić. Jednak szeryf musi przestać skupiać się na mnie i poszukać mordercy gdzieś indziej.

- O to właśnie chodzi. On nie musi szukać nigdzie indziej. I nie będzie, jeśli się przekona, że to ty jesteś winna. Weź pod uwagę coś jeszcze. Czy aresztowanie sławnej Kit Baron nie byłoby sporym osiągnięciem? Miejscowy prokurator byłby zachwycony. Notowania obu natychmiast poszłyby w górę. Pojawiłyby się być może propozycje od wydawnictw, wywiady, a może i film dla telewizji. To się nieraz zdarzało.

- Ale ja tego nie zrobiłam.

Machnął lekceważąco ręką.

- Wiem o tym. Zamrugła.

- Wiesz?

- Kit, ty nie jesteś zdolna do okrucieństwa, a tym bardziej morderstwa z zimną krwią.

Była taka piękna i taka uparta. Bolało go serce, kiedy na nią patrzył. Wpakował się w niezłe kłopoty. Jak miał jej pomóc, skoro sam nie był w stanie uporać się ze swoimi uczuciami?

- W najgorszym wypadku - powiedział zamyślony - możemy tłumaczyć się obroną własną.

Kit złapała wazon i rzuciła z całej siły w jego kierunku. Uchylił się, a ciężki przedmiot przeleciał mu nad głową i roztrzaskał się o ścianę.

- Niech cię diabli porwą, Desie Baronie! Po czym zapadła ogłuszająca cisza. Rosła i dzwoniła tak bardzo, że Des miał ochotę zatkać sobie uszy.

- Wiesz - powiedział, siląc się na spokój. - Gdyby ktoś zobaczył cię, jak rzucasz we mnie wazonem, bez trudu uwierzyłby, że mogłabyś stracić panowanie nad sobą i zranić człowieka, który cię rozzłościł. Może nawet zabić.

Kit przeszył zimny dreszcz. Przynajmniej raz udało mu się trafić celnie.

- Wynoś się - powiedziała cicho.

- Wyjdę. Ale wrócę.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Kit jęknęła. Przez ostatnie dziesięć minut w kółko czytała ten sam akapit powieści kryminalnej, którą zaczęła w tym tygodniu. I wciąż nie wiedziała, o co w niej chodzi.

Odrzuciła ją na bok. Nie była w stanie na niczym się skoncentrować. W głowie miała tylko Desa. O niczym i nikim innym nie była w stanie myśleć.

Instynkt jej podpowiadał, że niewiele brakowało, a jej spotkanie z Desem zmieniłoby charakter. Od gniewu był tylko krok do namiętności. A gdyby tak się stało...

W głębi ducha zawsze się obawiała takiego wybuchu pożądania między nimi. A mimo to była zaskoczona.

Zdaje się, że Des również się tego nie spodziewał, choć, oczywiście, nie mogła być tego pewna. Za słabo go znała, by to zgadnąć. Des dobrze się dogadywał z ojcem, ale od jego śmierci chyba nie znalazł z nikim wspólnego języka. Był zagadką. Wspaniałą zagadką.

Dźwignęła się z kanapy i podeszła do okna. Na dworze padał śnieg z deszczem, ale w jej domu było ciepło i przytulnie, dokładnie tak, jak lubiła. Jednak tego wieczora nawet widok posiadłości, na którą tak ciężko pracowała, nie był w stanie jej uspokoić.

Ten dzień obfitował w tyle straszliwych i dziwnych wypadków. Ktoś zabił Cody'ego, a szeryf podejrzewał o to ją. Gdyby nie chodziło o taką tragedię, mogłaby się nawet z tego śmiać. Jeszcze zabawniejsze i dziwniejsze było to, że jej prawnikiem i obrońcą został Des, którego unikała przez długie lata.

Z szeryfem sobie poradzi, gorzej z Desem. Doskonale rozumiała, dlaczego kobiety za nim szalały. Ona również, wtedy, dawno temu, zrobiłaby z siebie idiotkę, gdyby nie przestał jej całować. Jęknęła na samą myśl o tym.

Tego wieczora szybciej niż zwykle skończyła pracę, po czym zafundowała sobie długą kąpiel. Następnie włożyła grube skarpety, jedwabną piżamę i kaszmirowy szlafrok. Mogłaby to być noc idealna dla odpoczynku, a może nawet przeczytania do końca powieści. Jednak nie była w stanie oderwać myśli od morderstwa. I od Desa.

Gdyby rano ją pocałował, oddałaby pocałunek. Wiedziała to na pewno. Nie byłaby w stanie się powstrzymać. Co gorsza, odpowiedź przyszłaby łatwo, automatycznie, naturalnie. A gdyby posunęli się dalej?

Te rozważania nad zwykłym, i to tylko potencjalnym pocałunkiem dowiodły, że miała rację, unikając Desa przez te wszystkie lata.

Jej rozmyślenia przerwał dzwonek do drzwi. Przez chwilę patrzyła tylko w stronę źródła dźwięku. Nie miała ochoty na spotkanie, bez względu na to, kto stał za drzwiami. Chciała zignorować gościa, jednak coś jej w tym przeszkadzało.

Otworzyła z ociąganiem. W progu, pod lampą, stał Des. Serce podskoczyło jej w piersi. Nerwowo zebrała poły i ściągnęła pasek szlafroka.

Myślała o Desie i on przyszedł. Na ciemnych włosach i wełnianej kurtce osiadły kropelki wody, które przemieniły się już w lód.

Kit patrzyła na niego bez słowa i nagle dotarła do niej bolesna prawda. Czekala na niego. Boże, jej serce nie powinno bić tak szybko w jego obecności, puls nie powinien tak przyspieszać. Nie powinna na to pozwalać. Nie wiedziała, czy Des planował spędzić z nią dużo czasu, ale nawet chwila okazywała się za długa. Musiała się jakoś przed nim bronić.

- Mogę wejść? Zawahała się.

- Jest już późno.

- Nie tak bardzo. Poddała się zbyt łatwo. Pozwoliła mu wejść. Zdjął kurtkę i powiesił ją na mosiężnym wieszaku, a



potem wszedł do salonu. Poszła za nim. Miękki, granatowy sweter nie krył szerokich ramion. Czowała zapach skóry, mydła i wody kolońskiej. Wyglądał wspaniale. I niepokojąco seksownie.

- Czy coś się stało?

- Nic nowego, jeśli o to ci chodzi.

- To czemu tu jesteś? Spojrzał na nią, po czym powoli odwrócił wzrok i rozejrzał się po pokoju.

- Ładnie tu - odezwał się wreszcie. - Nie zwróciłem na to wcześniej uwagi.

Pewnie, że nie. Wcześniej koncentrował się na niej.

- Dziękuję.

- Słyszałem, że wyrzuciłaś wszystko z domu i urządziłaś go zupełnie od nowa.

- Zgadza się. Nie powiedział, po co przyszedł, co uznała za zły znak.

Gdyby wiedziała, że przyjdzie, mogłaby się lepiej bronić. Z drugiej strony musiała przyznać, że skupiając się na jej domu, daje jej czas na przygotowanie się do rozmowy na poważniejsze tematy. Postanowiła z tego skorzystać.

Urządziła dom w jasnych kolorach. Wszędzie piętrzyły się poduszki i książki. To była jej prywatna kryjówka. Kryjówka, w którą on się wdarł bez zaproszenia. I niech ją licho porwie, jeśli nie pasował do jej domu!

Jego smukłe palce bawiły się złotymi frędzlami poduszki, muskały skórzany fotel, następnie zamknęły się wokół porcelanowej figurki damy w osiemnastowiecznym stroju. Była tak delikatna, że mógłby ją łatwo uszkodzić. Jednak trzymał ją ostrożnie. Z wyraźnym podziwem przyglądał się szlachetnym liniom.

Te same palce zacisnęły się rano na jej ramieniu i przyciągnęły ją do niego. Poczowała, że traci oddech.

- Czym mogę cię poczęstować? Bourbon? Whisky? Miała nadzieję, że nie zostanie na drinka. Ona jednak potrzebowała w tej chwili czegoś mocniejszego.

- Poproszę brandy. - Odstawił figurkę na miejsce i podszedł do kominka. Przysunął ręce do ognia. - Tato mi mówił, że zmieniałaś ten dom, ale sam nie byłem tutaj całe lata.

Nigdy go nie zaprosiła. W ogóle rzadko kogoś zapraszała. Od czasu do czasu zatrzymywały się tutaj jej siostry.

Z gzymsu kominka zdjął porcelanowe pudełko z różowymi i żółtymi różami na wieczku. Przez chwilę na nie patrzył, po czym odstawił je z powrotem.

- Dom zmienił się nie do poznania. Pamiętam, że były tu liczne ciemne pokoje, bardzo małe i surowe.

- Tak. Kazała wyburzyć ścianki działowe, wybić nowe okna i drzwi. Chciała, by po pokojach mógł hulać wiatr, by były przepelnione słonecznym światłem. Udało jej się. Teraz dom był dla niej.

- Rozumiem doskonale, dlaczego chciałaś go gruntownie zmienić.

Wychowywał się blisko nich, nie mógł więc nie poznać charakteru jej ojca, tak surowego dla niej i jej sióstr. A jednak oddałaby wszystko, by tego nie rozumiał. Czuła się zbyt obnażona, zdana na jego łaskę i niełaskę. Nalała sobie drinka, a drugą szklanekę napełniła brandy i podała Desowi.

- Wcale bym się nie zdziwił, gdybyś kazała zrównać ten dom z ziemią.

- To, co zrobiłam, przyniosło równie dobre rezultaty. Wypiła alkohol, po czym odstawiła szklanekę. Liczyła na to, że pomoże jej to zapanować nad nerwami, ale nic z tego. Zaczęła się obawiać, że alkohol może jej tylko zaszkodzić.

- Powiedziałbym, że nawet lepsze.

- Pewnie masz rację - odparła po chwili. - Z domu mojego ojca uczyniłam coś jasnego, czystego i zdrowego. Nie został tu najmniejszy ślad po pierwszym właścicielu.

- I bardzo dobrze - mruknął pod nosem. Łagodność jego głosu sprawiła, że przeszedł ją dreszcz. Owinęła się szczelnie szlafrokiem.

Des spojrział na swoją szklanekę z brandy.

- Wysłałaś kogoś po Dię?

Rozmawiali o jej domu, a teraz o koniu. Tak długo, jak unikali seksualnego napięcia, powinna sobie poradzić.

- Wzięłam przyczepę i pojechałam po niego. Uśmiechnął się półgębkiem.

- Jeśli o niego chodzi, to nie ufasz nikomu, co?

- Raczej nie. Musiałam zaprowadzić go do innej stajni niż zwykle. - Jej wzrok na dłużej zatrzymał się na jego wargach. Podeszła do kominka i przesunęła płonące polana pogrzebaczem. - Nie był zbyt szczęśliwy, ale w tej chwili nie ma innego wyjścia.

Zdała sobie sprawę z tego, że robi dokładnie to, co on. Stara się zmniejszyć napięcie rozmową o błahostkach. Rzecz w tym, że była w tym kiepska. On zresztą też.

- Po południu rozmawiałem z szeryfem - powiedział Des.

- Prowadzi bardzo wnikliwe śledztwo, ale jutro do wieczora powinien się uporać ze stajnią.

- Wiem. Dzwonił tutaj i wszystko mi powiedział. Nalegał również, bym przyjechała do zdjęcia odcisków palców.

- Wolałbym, żebyś tego nie robiła.

- Powiedziałam, że przyjadę jutro.

- Wolałbym, żebyś tego nie robiła - powtórzył.

- To by tylko jeszcze gorzej nastawiło szeryfa. Chcę mu dać do zrozumienia, że jestem gotowa do współpracy i pomocy.

- Przerwała na chwilę, po czym zapytała: - Des, po co przyszedłeś?

- Pomyślałem, że powinniśmy wyjaśnić sobie pewne rzeczy, o których mówiliśmy rano.

Drgnęła.

- Nie wydaje mi się, żeby była potrzeba kontynuowania tej rozmowy.

Odstawił szklankę na pobliski stolik.

- Zupełnie się z tobą nie zgadzam. Trzeba to zrobić z wielu powodów. Straciłem w twoim przypadku profesjonalny obiektywizm, a to w moim zawodzie niedopuszczalne.

Poczuła się urażona. Termin „profesjonalny obiektywizm” sprawił, że czuła się jak jego klientka, nie powiązana z nim w żaden sposób osobiście. Choć musiała przyznać z drugiej strony, że to, czego jej w tej chwili potrzeba, to właśnie zdystansowany obiektywizm w stosunku do niego. Chciałaby wiedzieć, jak go osiągnąć.

- Nie wątpię, że już go odzyskałeś. Przez dłuższą chwilę patrzył jej prosto w oczy, a jej znowu krew szybciej krążyła w żyłach. Działał na nią piorunująco. Zawsze tak było.

- Prawda jest taka, Kit, że martwię się o ciebie.

- No to się nie martw. Nie ma powodu. Nie ma również potrzeby wygłaszania kolejnych kazań. Wszystko przemyślałam. Jestem w pełni świadoma powagi sytuacji i mojego w niej udziału.

Kiwnął głową.

- To dobrze. Już zacząłem śledztwo.

- Nie musisz. Sama się tym zajmę.

- Kit... - Przerwał, jakby zastanawiając się nad tym, co chciał powiedzieć. - Czy pamiętasz, jaka byłaś jako mała dziewczynka?

- Staram się bardzo o tym zapomnieć. Przełknął głośno ślinę, co wywołało jej dreszcz.

- A ja pamiętam doskonale - powiedział łagodnie. - Kiedy ojciec zaczynał miotać pioruny i robiło się za ciężko, uciekałaś z domu. Po kilku godzinach twój ojciec wysyłał chłopców z rancza na poszukiwania. Jakoś zawsze wiedziałem, gdzie cię szukać. Siedziałaś na stryszku w jednej ze stodół, w najdalszym kącie, schowana za snopkiem siana.

Próbowała sobie przypomnieć to przestraszone dziecko, jakim była. Próbowała znowu być nim, a nie ponętą kobietą. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że Des stoi przed nią. Blisko, za blisko. Nawet nie zauważyła, kiedy się ruszył z miejsca.

- Leżałaś zwinięta w kłębek - szepnął. - Ze wszystkich sił chciałaś stać się niewidzialna. Wyciągałem do ciebie rękę, a ty kręciłaś głową. Mówiłem ci, że lepiej będzie, jak pozwolisz się odprowadzić do domu. Myślałem, że spotkałaby cię mniejsza kara, gdybyś wróciła z własnej woli. Ale ty byłaś taka uparta. Nigdy sobie nie ułatwiałaś życia. Nigdy nie przyjęłaś mojej pomocy.

Delikatnie pogłaskał ją po głowie.

- Kit, proszę cię. Nie utrudniaj tym razem. Pozwól sobie pomóc.

Patrzyła na niego oszołomiona, zbita z tropu. Był niebezpieczny, z tym swoim hipnotycznym głosem, z tym łagodnym, a jednocześnie płomiennym dotykiem.

- Sama sobie poradzę, Des.

- Wiem, że byś sobie poradziła, ale skoro tu jestem, nie ma powodu, byś przechodziła przez to sama. Kit, proszę cię. Jestem jednym z najwyższej opłacanych prawników w tym kraju, a tobie oferuję swoje usługi za darmo. Mam doświadczenie. Jestem bardzo dobry. Mogę ci pomóc, tylko mi na to pozwól.

Westchnęła i spojrzała na niego.

- Nie mam właściwie wyboru, prawda? Nie dasz mi spokoju?

- Nie dam. Wolno kiwnęła głową na znak, że się zgadza.

- A więc dobrze. Choćby po to, by ci pokazać, że nauczyłam się czegoś od dzieciństwa. Pomóż mi. Jednak gdybym w którymkolwiek momencie naszej pracy uznała, że nie idzie nam najlepiej, mogę cię zwolnić. Rozumiesz?

- Dobrze. Jego wzrok powędrował niżej, na jej wargi. Powoli schylił głowę.

Miała czas, żeby go odepchnąć. Miała mnóstwo czasu. Jednak tego nie zrobiła, czym zaskoczyła również samą siebie. Zamiast tego czekała, wyobrażała sobie, co się zaraz stanie. To było niezgodne ze wszystkim, co sobie postanowiła.

W końcu oczekiwanie się skończyło. Jego ciepły oddech rozgrzewał jej skórę. Uniosła głowę, wyszła mu naprzeciw. Jego usta najpierw musnęły jej wargi. Pocałunek był długi i namiętny. Kit zadrżała.

Poczuła ręce Desa na plecach. Pieścił ją przez kaszmirową tkaninę szlafroka i jedwab piżamy. Jeden pocałunek zmienił się w dwa, dwa w trzy, a potem nastąpiła cała kaskada.

Kit czuła się tak, jakby w jej żyłach krążył wrzący strumień. Wkrótce ogarnął całe ciało. Było jej tak dobrze, tak cudownie. Zastanawiała się, czemu się przed tym tak długo wzbraniała. Miała powody, wiedziała, ale teraz to przestało się w ogóle liczyć. Nie miała pojęcia, że pocałunki mogą być tak wszechogarniające.

Topniała mu w rękach, dokładnie tak jak wtedy, gdy miała siedemnaście lat. Pożądanie było nawet silniejsze, a jego wargi bardziej zdecydowane. Zarzuciła mu ręce na szyję i zanurzyła palce w gęstych włosach.

Zachowywała się jak oszalała. Przytuliła się do niego całym ciałem. Tyle czasu trzymała się od niego z daleka, a teraz chciała być jak najbliżej.

W końcu Des odsunął ją od siebie.

Wyrwał się jej jęk protestu.

- Nie ró b tego - szepnął chrapliwie. - Mnie też ciężko jest się od ciebie oderwać, ale jeśli to potrwa choć chwilę dłużej, nie będę w stanie się zatrzymać.

To ją otrzeźwiło. Jedna jej część chciała się zatopić w tym żarze, który w niej wzbudzał, chciała przestać myśleć. Lecz druga przypominała, że jest wiele powodów, dla których nie powinni posuwać się dalej.

Nagle ogarnęło ją zmęczenie. Odsunęła się od niego, nie patrząc mu w oczy.

- Dobranoc, Des. Wahał się.

- Nie chciałem...

- Dobranoc.

- Chcesz, żebym sobie poszedł? - zapytał z trudem.

- Tak, właśnie tego chcę.

- W takim razie dobranoc, Kit.

## ROZDZIAŁ C Z W A R T Y

Następnego ranka Kit odsunęła zasłonę w salonie i wyjrzała na zewnątrz. Zapowiadał się szary, zimny dzień.

Wcześniej rano wybrała się z Dią na przejażdżkę, ale, inaczej niż wczoraj, nie miała ochoty przebywać dłużej z dala od domu. Zwykle wyprawa na Dii pomagała jej zebrać myśli i spojrzeć na problemy z odpowiedniej perspektywy. Dziś było inaczej.

Des zdominował jej myśli całkowicie. I to w chwili gdy powinna się skoncentrować na sprawie morderstwa Cody'ego, zastanowić, jak się z tego wykaraskać. W dodatku wcale jej nie pocieszała świadomość, że miała rację, trzymając się z dala od Desa przez te wszystkie lata. Tak łatwo mógł zawładnąć jej życiem. Mógłby ją zdominować, jak zdominował ją ojciec, a ona nawet nie miałaby ochoty od niego uciec.

Była na siebie zła za to, że tak łatwo mu się poddała. To ona ponosiła winę za wszystko, co się między nimi zdarzyło. Wiedziała przecież, że zamierza ją pocałować, mogła powiedzieć „nie”.

Siłą oderwała swoje myśli od Desa i zajęła się Codym. Nic nie wiedziała o szeryfie. Des twierdził, że jest bardzo ambitny. Jeśli to oznaczało, że szuka szybkiego, doraźnego rozwiązania sprawy morderstwa, to ona była dla niego łakomym kąskiem. Jedyne, czego będzie szukał, to możliwych powiązań jej osoby ze zbrodnią. Nie będzie się zajmował niczym ani nikim innym.

Des miał rację. Nie zawsze sprawiedliwość była po stronie niewinnego. No, może w książkach i filmach tak, ale nie w prawdziwym życiu.

Mimo to me chciała pomocy ze strony Desa. Nie chciała mu niczego zawdzięczać. A poza tym ostatni wieczór dowiedział aż nadto dobrze, że traciła głowę, kiedy tylko on pojawiał się



na horyzoncie. Cała topniała, kiedy jej dotykał. Zrobiła z siebie idiotkę.

Na sekundę zamknęła oczy. Jakoś będzie musiała odzyskać kontrolę nad sobą. I sama będzie musiała sobie pomóc.

Skoro to nie ona zabiła Cody'ego, zrobił to ktoś inny. Kto?

Wczoraj wieczorem, po wyjściu Desa, włączyła komputer i przejrzała raporty wszystkich swoich zarządców. W końcu znalazła zwierzchnika Cody'ego. Zostawiła wiadomość na pagerze, a on oddzwonił. Dowiedziała się, że z Codym często pracował i przyjaźnił się człowiek o nazwisku Scott McKee.

Rozległ się dzwonek u drzwi, więc poszła otworzyć.

- Dzień dobry, Scott. W progu stał młody, dwudziestokilkuletni mężczyzna. Miał

jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu, był mocno zbudowany. Kiedy zdjął kapelusz, zobaczyła początki łysiny.

- Panno Baron. Kilka razy go już spotkała i zawsze zwracał się do niej po imieniu. Jednak nie poprosiła, by i teraz mówił do niej „Kit”. Okazja wymuszała formalne zachowanie.

- Chodźmy do mojego gabinetu. Poprowadziła go przez hol do dużego pokoju z widokiem na ogród. Usiadła za biurkiem, a jemu gestem wskazała jedno z krzeseł z drugiej strony.

- Kawy? - zapytała, wskazując na kredens, ekspres i kilka kubków, które wcześniej przygotowała.

Pokręcił głową. Wyraźnie nie czuł się tu dobrze.

- Jeśli pozwolisz, Scott, od razu przejdę do rzeczy. Chciałabym dowiedzieć się jak najwięcej o twojej znajomości z Codym Inmanem. Czy byliście blisko zaprzyjaźnieni?

Poprawił się na krzeselku.

- Nie nazywałbym tego prawdziwą przyjaźnią. W zależności od tego, gdzie nas akurat przydzielono, zdarzało się, że pracowaliśmy razem. Nasze łóżka stały obok siebie.

Wcześniej myślała tylko o tym, by go tu ściągnąć i zacząć rozmowę, ale teraz studiowała jego twarz. Robił wrażenie niespokojnego i pełnego obaw.

- Czy spędzaliście razem czas po pracy?

- Od czasu do czasu. Cholerna szkoda, że nie żyje.

- Mnie jest nie tylko przykro z powodu jego śmierci, Scott. Ja jestem zła. Cenię i szanuję każdego, kto pracuje na ranchu, bez względu na to, czy znam go dobrze, czy nie.

Przerwała, ale on studiował właśnie najbliższą krawędź biurka i nic nie powiedział.

- Ktoś popełnił tu morderstwo. Jeśli nie znajdziemy tego człowieka, również inni mogą się znaleźć w niebezpieczeństwie.

- Nie myślałem o tym w ten sposób.

- Ale taka jest prawda.

- Tak, proszę pani.

- Czy miałaś ostatnio jakiś powód, by być zły na Cody'ego? Podniósł głowę i spojrzał na nią.

- Nie. A pani? Patrzyła na niego tak spokojnie, jak tylko potrafiła. Wieści szybko rozchodziły się po ranchu. Scott już wiedział, co się zdarzyło między nią a Codym. Wszyscy już to wiedzieli.

Przeszedł ją zimny dreszcz. Scott czuł się niezręcznie, bo uważał, że być może to ona zabiła Cody'ego. Czy inni też tak myśleli?

Coś w niej nagle załkało.

Była dumna z rancha i swojej pozycji. To było wszystko, co miała, co się dla niej liczyło. Szacunek każdej osoby pracującej tutaj znaczył dla niej bardzo wiele. A teraz widziała, że będzie musiała ciężko pracować, by go odzyskać.

- Czy wiesz o kimś, z kim Cody niespecjalnie się dogadywał? Kto z nim ostatnio walczył? Kto go nie lubił?

Wzruszył ramionami, spojrzał na nią, po czym znowu spuścił wzrok.

- Raczej nie.

- Pomyśl.

- Chodzi o to, że on był zwyczajnym gościem. Nie było w nim nic wyjątkowego. Ciężko pracował. A kiedy się bawił, to na całego. - Głos mu się załamał. - Tak jak my wszyscy tutaj.

- Dzień dobry - powiedział Des, wchodząc do pokoju i od razu przyciągając uwagę swoją magnetyczną obecnością.

Scott natychmiast się wyprostował.

- Dzień dobry, panie Baron.

Des opadł na jedno z pustych krzeseł przed biurkiem i spojrzał na nią.

- Dzień dobry, Kit. Kiwnęła z wysiłkiem głową.

- Nie spodziewałam się ciebie.

- Pomyślałam, że wpadnę. - Odwrócił się do Scotta i powiedział: - Chyba się nie poznaliśmy. Jestem Des Baron.

- Tak, proszę pana. Wiem, kim pan jest. Ja się nazywam Scott McKee.

- Scott często spędzał czas z Codym - wtrąciła się z wyjaśnieniem Kit.

- Aha. W takim razie nie przeszkadzajcie sobie w rozmowie. Ja się będę przysłuchiwał.

Okazało się, że łatwiej powiedzieć, niż zrobić. W obecności Desa zapominała o tym, co zaplanowała. Dominował nad wszystkim, władał jej myślami. Nie chodziło tylko o jej zaangażowanie uczuciowe. Wystarczył rzut oka na Scotta, by dostrzec, że i na niego Des działał podobnie. Tkwiała w nim jakaś siła. W pewnym sensie był jak teksaskie tornado, zmiatające wszystko, co stało mu na drodze.

Wysiłkiem woli wróciła do rozmowy ze Scottem.

- Czy widziałeś Cody'ego poprzedniej nocy lub wczoraj rano?

Młody mężczyzna wyprostował się na krześku. Najwyraźniej nie odpowiadała mu pozycja osoby pod ostrzałem.

- Graliśmy w nocy w pokera. Wtedy go widziałem. Kit pochyliła się nieco do przodu.

- Czyli po jego i moim powrocie? Spuścił wzrok.

- Cody wspominał coś o wyjściu z panią.

Mogła się założyć, że o tym wspominał. Pewnie się przechwalał. Niech to diabli! Nie mogła sobie wybaczyć, że tak się pomyliła w ocenie człowieka.

- Czy on grał w pokera? - zapytał cicho Des.

- Tak.

- A ty?

- Wycofałem się, kiedy Cody przyszedł.

- A mimo to zostałeś?

- Przez chwilę, a potem sobie poszedłem.

- Czy ktoś przegrał dużo do Cody'ego?

- Nie wiem. Stawki nie były zbyt wysokie, nie tak jak zaraz po wypłacie.

Kit sięgnęła po pióro.

- Podaj mi nazwiska wszystkich, którzy tam byli. Scott przez chwilę się wahał. Może się zastanawiał, czy to nie będzie zdrada. Na szczęście w końcu uznał, że nie, i wyrecytował nazwiska pięciu graczy.

- Oczywiście Cody. Poza tym Mike Stillwell, Red Tinsdall, Scooter Garner, Burt Salatore i Johnny Don Galvez.

Kit skrupulatnie zanotowała nazwiska.

- Czy jest coś jeszcze, o czym chciałbyś mi powiedzieć? Scott pokręcił głową.

- W takim razie dziękuję. Jestem ci wdzięczna za pomoc. Scott zerwał się na równe nogi.

- To wszystko?

- Tak. Możesz teraz wracać do pracy. Błyskawicznie zniknął za drzwiami. Innym razem Kit by się z tego uśmieła. Teraz jednak odwróciła się do komputera i szybko wprowadziła nazwiska osób podanych przez Scotta. Potem usiadła i czekała na wydruk.

- Chciałem cię o to zapytać wczoraj wieczorem - przerwał milczenie Des. - Czy składałaś kiedyś odciski palców? Czy one są w jakichś aktach?

- Nie. Kiwnął głową.

- Szeryfowi nie chodzi tak naprawdę o odciski palców. Dobrze wie, że to mu niewiele da. To tylko pretekst.

- Do czego?

- Wykonałem kilka telefonów i poprzytałem o niego. Zdaje się, że jest świetny w zastraszaniu. Tak naprawdę zależy mu na tym, żeby cię ściągnąć do swojego biura, na jego teren. Każe ci w kółko wszystko opowiadać, mając nadzieję, że jeśli cię tym zmęczy i będzie zadawał te same pytania w różny sposób, to w końcu się potkniesz i przyznasz do zabicia Cody'ego.

- No, to czeka go wielki zawód. Des uśmiechnął się najjaśniejszym ze swoich uśmiechów.

Miała wrażenie, jakby właśnie uderzyła w nią błyskawica. Jak ona ma ignorować takie uśmiechy?

- Więc jaki masz plan? Co na początek? - zapytał.

- Chcę odnaleźć tych pięciu ludzi i porozmawiać z nimi.

- W takim razie chodźmy.

- To nie... Uniósł dłoń.

- Naprawdę chcę iść z tobą. W końcu jestem twoim prawnikiem.

Ach, więc wcale nie chce jej towarzyszyć z przyczyn osobistych. Odwróciła się do komputera.

- Co robisz?

- Otwieram raporty zarządców i sprawdzam, kto u nich pracuje, a także kiedy i gdzie pracował w konkretnym dniu.

Des parsknął śmiechem.

- O ile wiem, na ranczu tylko jedno jest pewne: że wszystko może się w każdej chwili zmienić. Pracownik może być przeniesiony w całkiem inne miejsce z zupełnie innym zadaniem.

Kiwnęła głową, chłonąc jego śmiech.

- Dostaję raporty na koniec każdego tygodnia. Nie mam jeszcze aktualnych, ale możemy zacząć od zeszłotygodniowych.

Możemy. „My”. Powiedziała to. Sprawą najpilniejszą stawało się wzniesienie bariery między nią a Desem. Jednak wystarczył jeden wybuch śmiechu, jedno puszczone oko i myślała tylko o tym, by znowu ją pocałował. Westchnęła. Kiedy się to wszystko skończy, usunie go ze swojego życia.

Billa Ridleya, jednego z zarządców Kit, znaleźli bez większego trudu. Był w dużej stodole, gdzie nadzorował pracę kilku mężczyzn, rozładowujących platformę z sianem.

Bill pracował na ranczu, odkąd sięgała pamięcią. Z jego papierów wynikało, że miał pięćdziesiąt trzy lata. Ciemne włosy już przetykały srebrzyste pasma, a nad ręcznie zrobionym paskiem zwieszał się wydatny brzuszec. Ku uldze Kit wydawał się szczerze rozradowany na jej widok. Najwyraźniej nie zaliczał się do grona osób, które uważały, że to ona zabiła Cody'ego.

- Kit, Des, jak miło was widzieć. Des wymienił z nim uścisk dłoni.

- Ciebie też dobrze zobaczyć. Minęło sporo czasu.

- Pewnie, że tak. - Bill przesunął wzrokiem między nimi.

- Skąd się tu wzięliście?

- Potrzebuję informacji o Cody'm Inmanie - odezwała się Kit.

Uśmiech zniknął z twarzy Billa.

- Przykra sprawa z tym morderstwem. Prawie nie mogłem w to uwierzyć. Walki na pięści zdarzają się tu całkiem często. Czasem facet wychodzi z nich półżywy, ale nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek na B&B mieli morderstwo.

Kit kiwnęła głową.

- Ja na pewno nie słyszałam o morderstwie, chociaż kto może wiedzieć, co się tu działo za dawnych czasów.

- Masz rację. Wtedy pewnie było tu sporo przepychanek.

- Mogę to sobie wyobrazić. - Wręczyła mu napisaną ręcznie listę nazwisk. - Słuchaj, z papierów wynika, że ci ludzie pracowali u ciebie. Muszę się dowiedzieć, na której zmianie pracują i gdzie są.

Spojrzał na listę.

- Czy powinienem wiedzieć, czemu o nich pytasz?

- Oni wszyscy grali razem z Codym w pokera dwa dni temu. Pomyślałam, że może dobrze będzie z nimi porozmawiać. Pomożesz mi?

- Pewnie. Mam notatki z przydziałem zadań w samochodzie, tam. - Podszedł szybkim krokiem do furgonetki i zaraz wrócił. - Dobrze, popatrzmy. Burt i Red są w rejonie północno - zachodnim numer 258, odbierają stado. Mają tam zostać przez kilka dni. Jeśli chodzi o Mike'a, o świcie pojechał do Oklahomy na pogrzeb siostry. - Przewrócił kartkę i przejechał wzrokiem po liście nazwisk, pomagając sobie palcem. - Aha. Scootera i Johnny'ego Dona wysłałem do Oklahoma City, żeby odebrali specjalne zamówienie. Mają wrócić jutro. - Spojrzał na Kit i zapytał: - Czy to ci coś pomoże?

- Bardzo, dziękuję. Chcę się jak najszybciej skontaktować z tymi ludźmi i sprawdzić, co pamiętają. Teraz, kiedy już wiem, gdzie są, mogę sobie wszystko zaplanować.

- Dobry pomysł. Daj znać, gdybym mógł coś jeszcze dla ciebie zrobić.

- Nie omieszka. Billowi wrócił dobry humor.

- Hej, Des, a ty na długo w domu tym razem?

- Na czas nieokreślony.

- Chyba żartujesz.

- Nic a nic.

- To rewelacyjnie!

Kit była nie mniej zaskoczona niż Bill. Des nigdy nie spędzał w domu dużo czasu. Zwykle zostawał tylko na kilka dni. A teraz jego pobyt miał mieć nieokreśloną długość?

Jeśli Des zauważył jej zaskoczenie, nie dał tego po sobie poznać.

- No, tak, zdecydowałem, że nie biorę teraz żadnych nowych spraw, przynajmniej przez jakiś czas. Będę tylko konsultował. A to mogę robić stąd. Era komputerów zapewnia komunikację na odległość. Postanowiłem to wypróbować.

- Dobrze będzie mieć cię w domu. Des się uśmiechnął.

- Zgadza się całkowicie. Kiedy mnie tu długo nie ma, zżera mnie tęsknota za B&B.

- Zanim zaczniemy ich szukać, muszę wpaść do biura i wziąć akta tych ludzi. — Kit była nieco zażenowana, że zapomniała o tak ważnej rzeczy. Nerwowo poprawiła włosy. - Sama nie mogę uwierzyć, że o tym nie pomyślałam od razu.

- Masz dużo na głowie - mruknął Des, podjeżdżając pod jej dom.

- Tak, masz rację. - Oględnie to określił, pomyślała. - Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć o swojej decyzji dotyczącej pracy na odległość? A może chciałeś, bym sama do tego stopniowo doszła?

- Powiedziałbym ci w odpowiednim momencie. Tylko że od śmierci Cody'ego mamy... inne tematy do rozmowy.

Kolejne niedopowiedzenie.



- Tak, zdecydowanie tak. Coś w jej głosie zabrzmiało intrygująco. Spojrzał na nią.

- Dociera do ciebie, co?

- Oczywiście. Nie może przecież być inaczej. Nie wiem, czy wiesz, ale niecodziennie jestem oskarżana o morderstwo.

- Pomogłoby, gdybym ci obiecał, że nie masz się o co martwić? Obietnica to nie pewność, ale Kit intuicyjnie czuła, że Des nie należy do ludzi, którzy rzucają słowa na wiatr. Na tę myśl poczuła się lepiej, co wcale nie było takie dobre. Zdawała się na kogoś innego, pokładała w nim zaufanie. A tego oduczyla się lata temu.

- Pewnie, że by pomogło - powiedziała neutralnym tonem i zmieniła temat: - To kiedy zdecydowałeś się zostać w domu?

- Myślałem o tym od jakiegoś czasu.

- Ale to taka radykalna decyzja. Nie myślałeś, że może cię omijać procesowa ekscytacja?

- Pewnie, ale miałem już tego dość. Po jakimś czasie i to się może znudzić.

- Tak jak wszystko inne.

- Nie wszystko. Na przykład, nie powiesz mi chyba, że życie na B&B kiedykolwiek wydaje ci się nudne.

Uśmiech rozświetlił jej twarz. Nie zdążyła go powstrzymać.

- W żadnym razie. Każdy dzień jest inny. Uśmiechnął się.

- Sama widzisz. Ja też kocham to ranczo, tak samo, jak ty. Tu się urodziłem, tu są moje korzenie. Nigdzie indziej nie jestem tak naprawdę w domu.

Gdyby się nad tym przez chwilę zastanowiła, może zdałaby sobie sprawę z tego, że ma taki sam stosunek do B&B. A jednak... Co wspólne życie na ranczu oznaczało dla niej?

Co do jednego nie było wątpliwości: Zdecydowanie trudniej będzie go unikać. Być może nawet stanie się to

niemożliwe. Niepokoiło ją coś jeszcze. Zawsze traktowała ranczo jak własne terytorium. Na szczęście jej siostry nigdy się nim specjalnie nie interesowały.

- Powinieneś wiedzieć, że to ja kieruję B&B. I że nie potrzeba mi niczyjej pomocy.

Zdławił śmiech.

- To takie podobne do Kit.

- Chcesz powiedzieć, że jestem przewidywalna? Parsknął śmiechem.

- W żadnym razie. Musiałbym być idiotą, by twierdzić coś takiego.

Pokręciła głową.

- Ty nie byłbyś w stanie zachować się jak idiota. O sobie też nigdy nie myślała, że byłaby w stanie, ale teraz musiała zmienić zdanie. Wpłynęły na to wypadki ostatniej nocy.

- Dziękuję. A żeby cię uspokoić, zaznaczę, że nie zamierzam wtrącać się w prowadzenie rancza. Chyba już to zresztą mówiłem. Zresztą ty świetnie sobie radzisz.

- Jednak skoro jesteś posiadaczem połowy Baron International, masz prawo brać w tym udział.

- Wiem.

- I właśnie powiedziałaś, że kochasz ranczo.

- Kocham. Co nie znaczy, że chcę je prowadzić. Detale zepsułyby mi całą przyjemność.

- Detale są zabawne. W jego oczach błysnęły iskierki rozbawienia.

- Teraz brzmi to tak, jakbyś próbowała nakłonić mnie do współudziału w kierowaniu ranczem.

Na Boga, on miał rację. To kolejny znak, że była kompletnie skołowana.

- No, dobrze. To co tak naprawdę zamierzasz tu robić?

- Upraszczając sprawę, zamierzam rozkoszować się czasem.

- Nie rozumiem.

- Chcę się cieszyć pobytam tutaj, Kit. - Zatrzymał samochód pod jej domem. - Zdaje się, że mamy towarzystwo.

Następne pytanie zamarło jej na ustach. Przed domem stał samochód szeryfa i furgonetka z bocznym napisem „Kurier”. Tak nazywała się lokalna gazeta.

- Co się dzieje?

- Nie jestem pewien, ale zaraz sprawdzimy. Tylko pamiętaj o zachowaniu ostrożności podczas rozmowy. Jeśli będziesz miała jakieś wątpliwości, pozwól mówić mnie.

Prawie się uśmiechnęła.

- Chyba już to przerabialiśmy.

- I kto wygrał? Zakrztusiła się ze śmiechu.

- Ty. Nic się nie martw, nie dam się sprowokować.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Dzień dobry, szeryfie Moreno - przywitała się Kit. - Czy przyjechał pan, żeby prowadzić dalsze badania?

Szeryf rzucił okiem na Desa, a potem znowu spojrzał na Kit.

- Ktoś się tym zajmie, gdy my będziemy rozmawiali. Wciąż szukamy narzędzia zbrodni.

- To dobrze. Mam szczerą nadzieję, że uda się panu trafić na jakiś ślad.

- Och, nie wątpię, że mi się powie. Jego ton zabrzmiał bardzo sarkastycznie, ale Kit zdecydowała się tego nie komentować.

- W takim razie dlaczego jest pan tutaj, a nie w stajni?

- Normalnie tam bym właśnie był, ale uznałem, że lepiej będzie przyjechać tu i zawieźć panią do miasta, by pobrać odciski palców.

Obraził ją. Czują, że również Des zeszywniał.

- Powiedziała już panu, że przyjadę dzisiaj. Wzruszył ramionami.

- Istniała możliwość, że pani o tym zapomni. Pomyślałem, że lepiej będzie zadbać o to, by się tak nie stało.

- Nie ma pan do tego prawa, Moreno - powiedział cicho Des, a na jego skroniach mocno pulsowały napięte żyły.

Szeryf spojrzał na niego zimno.

- Jestem innego zdania.

- To się pan myli.

- Nie, panie Baron, jestem tylko dokładny. Des uśmiechnął się uśmiechem, od którego przechodziły ciarki.

- Jaki pan jest, to temat na zupełnie inną rozmowę. Teraz tylko powiem, że panna Baron nie pojedzie nigdzie, dopóki nie będzie pan miał nakazu aresztowania.

- Nie podejrzewam, by o tym pan właśnie marzył - powiedział szeryf z uśmiechem wyższości.

- Dobrze pan wie, że nie może jej aresztować. Nie ma dowodów.

- To dyskusyjne.

- Dyskutować będziemy w sądzie. A teraz proszę opuścić ten teren. Panna Baron przyjedzie w swoim czasie.

- Co może znaczyć, że nie przyjedzie nigdy. Do tej pory Kit nie reagowała na zachowanie szeryfa, ale teraz uświadomiła sobie, że pała do niego szczerą niechęcią. Co więcej, Des był bliski utraty osławionej kontroli nad sobą. Uspokajająco położyła dłoń na jego ramieniu.

- Pozwól mi samej mówić.

- Świetny pomysł. Właśnie po to tu przyjechałam - usłyszeli spokojny głos.

Kit spojrzała na kobietę, która dotąd stała trochę z boku. Niemal zapomniała o jej obecności. Teraz przypomniała sobie o prasowej furgonetce.

- Dzień dobry, panno Baron. Jestem Ada de la Garza. Drobną kobietą z ciemnymi włosami upiętymi w ciasny kok miała na sobie czerwony garnitur z wełny. Kit spojrzała na legitymację, którą wręczyła jej dziennikarka.

- Reporterka.

- Zgadza się. Zamierzam napisać o wszystkim, co się tutaj zdarzyło.

- Chodzi pani o morderstwo. Dziennikarka uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła z torby notatnik oraz długopis.

- Tak. Witam, panie Baron. Tak miło pana spotkać. - Wyraźnie go kokietowała. - Szkoda, że w takich okolicznościach. Może gdy to wszystko się już skończy, spotkamy się znowu.

Ukrywając rozbawienie, Kit spojrzała na Desa. Zęby zjadł na rozmowach z takimi kobietami jak Ada i umiał się z nimi obchodzić.

Uśmiechnął się czarująco.

- Obawiam się, że mam bardzo napięty harmonogram. I nie chcę tego zmieniać.

Nie zostawił pani de la Garza złudzeń, ale nie był przy tym okrutny. Kit była pełna podziwu dla jego metody. Przy okazji zdała sobie też sprawę, że byłaby zazdrosna, gdyby okazał dziennikarce choć odrobinę zainteresowania.

- Rozumiem. - Ada de la Garza poczuła się chyba nieco urażona, jednak nie zbiło jej to z tropu. Zwróciła się do Kit: - Panno Baron, nasi czytelnicy zasługują na poznanie wszystkich szczegółów okoliczności, w jakich zginął Cody Inman. Na przykład pani i on widziani byli w barze poprzedniego wieczoru przed morderstwem. Czy łączyła was poważna więź?

- Nie...

- Jak długo trwał romans?

- Nie mieliśmy romansu. To była pierwsza...

- Ach, zaczynaliście romans. - Zapisała coś w notesie i zaatakowała Kit następnym pytaniem: - Proszę mi powiedzieć, co takiego było w Codym Inmanie, że złamała pani słynną postawę niedostępnej księżniczki, i co sprawiło, że zapomniała pani o innych mężczyznach?

Kit nie wiedziała, na którą część pytania odpowiedzieć najpierw.

- Jakich innych mężczyznach? Czerwona szminka na wargach Ady de la Garzy rozbłysła w szerokim uśmiechu.

- Och, proszę... To nie jest odpowiedni moment na granie wstydlivej. Nie ulega wątpliwości, że ten facet miał coś, co zwróciło pani uwagę. Na przykład był przystojny, zgadza się? Może reprezentował ten typ kowboja - macho, jaki tu jest, zdaje się, bardzo popularny?

- Nie wiem, o czym pani mówi - odparła beznamiętnie Kit.

- Niechże pani da spokój. Doskonale pani wie, o czym mówię. W końcu jest pani kobietą bardzo świadomą. Dzień w dzień pracuje pani z mężczyznami. Czy może być coś wspanialszego dla kobiety takiej jak pani? Pokusa na każdym kroku, a pani zdecydowanie nie zalicza się do grona niewinnych aniołów.

Kit była przerażona tym, jak postrzega ją ta kobieta. Z czego to wynikało? Spojrzała na szeryfa. Z jego zadowolonej z siebie miny wywnioskowała, że to on udzielił pewnych informacji reporterce. Jeśli de la Garza napisze artykuł, wykorzystując to, co on jej powiedział, wywoła on dokładnie taki skutek, na jakim zależało szeryfowi.

- Czemu pani mówi takie rzeczy? Nigdy dotąd się nie spotkałyśmy.

- Ale widywałam panią tu i tam. Każdy panią widywał. Potrafi się pani zatroszczyć o to, by zwracano na panią uwagę.

- Przepraszam? Des wziął Kit pod ramię.

- Pani de la Garza, jeśli chce pani zrobić wywiad, proszę zadzwonić do mnie. Umówię panią.

Pociągnął Kit w stronę domu. Reporterka ruszyła za nimi.

- A może zrobiłybyśmy wywiad od razu, Kit? Ja jestem tutaj, ty jesteś tutaj. Nie ma po co tego odkładać.

Kit nie wiedziała, czego nienawidzi bardziej - spoufalania się tej kobiety czy myśli o tym, że jej prywatne życie stało się nagle własnością publiczną, o której obcy ludzie rozmawiają przy śniadaniu.

- Nie.

- Kit, daj spokój. Wiesz dobrze, że napiszę ten artykuł bez względu na to, czy mi pomożesz, czy nie.

Dziennikarka była niegrzeczna i irytująca. I wyraźnie nieprzychylnie nastawiona do Kit. Może dlatego, że już na oko wyglądała na kobietę, która we wszystkich innych przedstawicielkach swojej płci widziała rywalki. A może

chodziło po prostu o to, że sensacyjne historyjki z soczystymi detalami zawsze dobrze się sprzedawały. Na podstawie jej zachowania Kit mogła sobie wyobrazić, jak widzą ją inni ludzie. Opuściła ją pewność siebie.

- Kit, słyszałaś, co powiedziałam? Zadzwoń do mnie.

- Proszę się wcześniej umówić - powiedział Des jeszcze raz, otwierając drzwi wejściowe.

- Artykuł będzie niepełny, jeśli Kit nie poda mi swojej wersji.

- W takim razie proszę go nie pisać. Z tymi słowami Des wepchnął Kit do domu. Z ledwie stłumionym jękiem poszła prosto do salonu, opadła na kanapę i schowała twarz w dłoniach. Des usiadł obok i otoczył ją ramieniem.

- Nie przejmuj się tą kobietą. Ona nie jest tego warta.

- Jest w niej coś, co mnie przeraża, Des.

- To zrozumiałe. Zachowuje się jak drapieżnik. A ty to wyczuwasz, to wszystko.

Przejechała dłońmi po twarzy.

- Drapieżnik przebrany w twarzowy czerwony kostium i używający jako broni pierwszej poprawki do konstytucji. To silny drapieżnik.

- Zignoruj ją.

- Bardzo chętnie, tylko wątpię, czy ona mi na to pozwoli. Co mam jej powiedzieć, kiedy znowu się tu pojawi? Że odmawiam rozmowy, bo może mnie to wpakować za kratki? Już samo powiedzenie tego sprawia, że wyglądam na winną.

- Tak długo, jak sprawa jest w toku, nie można cię winić za próbę chronienia siebie. Masz prawo odmówić rozmowy.

Podniosła na niego wzrok.

- Mówisz jak prawnik. Uśmiechnął się ciepło.

- Uzgodniliśmy, że jestem twoim prawnikiem, pamiętasz? Nawet gdyby tak nie było, trudno jest przełamać



przyzwyczajenia. Zwłaszcza gdy chodzi o kogoś, na kim mi zależy.

Właśnie powiedział, że mu na niej zależy. Przedziwne, ale pewnie powiedział to tylko po to, by podnieść ją na duchu. Nie czuła się podniesiona na duchu.

- Wiesz - zaczęła wolno - nie miałam pojęcia, że tak wielu ludzi tak źle o mnie myśli.

- Usłyszałaś to od jednej osoby, Kit. Jednej. Co więcej, jest to osoba, która ma się czegoś od ciebie dowiedzieć. Chce mieć materiał do gazety, chce sławy, którą, jak myśli, może zdobyć dzięki tobie. - W jego głosie zabrzmiała odraza. - Pod tym względem jest podobna do szeryfa.

Miał rację, ale to nie zmniejszało siły działania słów reporterki. Ta kobieta była niebezpieczna. Des przyciągnął ją do siebie.

- Kit, jesteś dorosła i masz świadomość konsekwencji swoich czynów i ludzi dookoła ciebie. Mam nadzieję, że wiesz, iż musisz uważać na każdego. Być może przyciąga ich do ciebie tylko twoje nazwisko i fortuna.

Zaśmiała się głucho.

- A jak myślisz, co przyciągało ich dotąd?

- Nie wątpię, że wiele osób podpada pod tę kategorię. Sam wiem coś o tym. Ale po drodze udało ci się też zdobyć prawdziwych przyjaciół. To pewne jak dwa razy dwa jest cztery. Masz jeszcze siostry i...

Pokręciła głową.

- Nie jesteśmy sobie bliskie.

- To nie ich wina. Nie ma nic, czego chciałyby bardziej, niż być z tobą blisko. Jestem absolutnie pewien, że gdyby tylko wiedziały, że masz kłopoty, zjawilyby się tutaj w mgnieniu oka.

Spojrzała na niego ze strachem.

- Nic im nie powiesz, prawda?

- Chciałbym. Myślę, że przydałoby ci się ich wsparcie.  
- Des, nie!  
- Dobrze. Jeśli tego nie chcesz, to ich nie zawiadomię.  
- Proszę, nie. I trzymaj to w tajemnicy również przed ich mężami. Wiem, że masz z nimi kontakt.

Nie było chyba nic gorszego, niż myśl o jej siostrach kręcących się w pobliżu, pełnych współczucia.

- Jak chcesz. Ale czy zastanawiałaś się nad tym, co będzie, gdy ukaże się pierwszy artykuł de la Garzy? Twoje siostry dowiedzą się o tym, wcześniej czy później.

- Będę się tym martwić, kiedy to nastąpi.

Ostatnio często brakowało jej odwagi na mierzenie się z rzeczywistością. Rozluźniła się w jego objęciach, oparła policzek o silny tors. Zdała sobie sprawę z tego, co robi, dopiero gdy wciągnęła jego zapach - wody kolońskiej, skóry, zmysłowości. Za bardzo się do niego zbliżyła.

Kiedy indziej myśl o tym by ją zaalarmowała, ale teraz odczuwała głęboką potrzebę pocieszenia. Potrzebowała jego ciepła i siły.

Dlatego nie ruszyła się z miejsca. A on już nic więcej nie powiedział. Kiedy trzymał ją w ramionach, czas i problemy przestały mieć znaczenie.

Kit wykręciła numer swojej siostry, Tess, po czym usiadła i czekała. Nie była w stanie powiedzieć, kiedy podjęła decyzję, żeby zadzwonić do sióstr. Tess była teraz w Austin, gdzie jej mąż, Nick Trejo, wykładał archeologię na Uniwersytecie Stanu Teksas.

- Tess, tu Kit.

- O, cześć. A to niespodzianka. Bez wątpienia. Na palcach jednej ręki mogła policzyć, ile razy dzwoniła ostatnio do którejkolwiek z sióstr.

- I to jaka miła - spiesznie dodała Tess. - Co u ciebie?

- W porządku. - Nie wiedziała, jak ma przedstawić wieści. Powiedziała więc po prostu: - Słuchaj, powinnaś o czymś wiedzieć. Tu się coś wydarzyło. Jeden z pracowników rancza został zamordowany.

- Och, Kit, to straszne. Znałam go?

- Nie. Pracował tu od kilku miesięcy.

- Kto to zrobił?

- Na razie nie wiadomo. Ale z jakiegoś powodu szeryf myśli, że ja to zrobiłam... a przynajmniej to próbuje udowodnić.

- Chyba żartujesz?

- Chciałabym, żeby tak było.

- Ale dlaczego ty? Kit wyjaśniła wszystko siostrze. Powiedziała jej dokładnie, co się wydarzyło, wspomniała o Adzie de la Garzy. Nie zdradziła tylko osobistych detali dotyczących tego, co zaszło między nią a Desem. Jak mogłaby o tym mówić? Sama jeszcze nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

- Dobrze, że Des jest w domu - powiedziała Tess. - Na pewno bardzo ci pomaga.

Kit przypomniała sobie ich pocałunek. To przynajmniej pomogło jej oderwać się od myśli o morderstwie. Ale poza tym zostawiło ją bardzo zmieszana.

- Kit?

- Och przepraszam. Tak, oczywiście, że jest pomocny.

- Dobrze. Słuchaj, niedługo mam samolot. Będę na miejscu wieczorem.

- Nie. Naprawdę nie ma takiej potrzeby. Des i ja mamy wszystko pod kontrolą. Właśnie na niego czekam. Mamy iść porozmawiać z ludźmi, którzy grali z Codym w karty wieczorem przed morderstwem.

- Jesteś pewna? Bo naprawdę chciałabym pomóc. To znaczy, mogłabym przynajmniej odbierać telefony, trzymać cię za rękę... cokolwiek jest potrzebne.

- Nie, nie trzeba. Chciałam ci tylko o wszystkim powiedzieć. Wolałam cię przygotować, na wypadek gdybyś się o tym dowiedziała z gazet.

- Cieszę się, że zadzwoniłaś. Zawiadomiłaś Jill?

- Zamierzam to zaraz zrobić.

- Kit, obiecaj mi, że zadzwonisz, jeśli będziesz mnie potrzebowała. I, na Boga, błagam cię, informuj mnie o tym, co się dzieje. Będę odchodzić od zmysłów.

- To nie odchodź. Tess, naprawdę, wszystko będzie dobrze.

- Jesteś pewna, że masz wszystko pod kontrolą?

- Tak. To na razie. Odłożyła słuchawkę i po krótkiej przerwie podniosła ją znowu, żeby wykręcić numer Jill.

Późnym popołudniem jechali wyboistym szlakiem furgonetką Desa. Kit patrzyła przez okno na wirujące płatki śniegu. Zmierzali do północno - zachodniej części B&B numer 258, gdzie skierował ich Bill Ridley. Chcieli porozmawiać z Redem Tinsdalem i Burtem Salatore.

- Cieszę się, że zadzwoniłaś do swoich sióstr.

- Ja chyba też, chociaż nastąpiło to, czego się spodziewałam. Obie chciały tu przylecieć. Bardzo trudno było to wyperswadować Jill. Z Tess poszło nieco łatwiej.

- Jill jest w ciąży. Pewnie zrobiła się bardzo opiekuńcza.

- Może. Przez chwilę zastanawiała się nad tym, jak to jest być w ciąży z mężczyzną, którego się kocha. Jej sercem targnęło silne pragnienie.

- Wciąż myślę, że trzeba było poczekać z tą wyprawą do jutra rana - powiedział Des, przerywając jej zamyślenie. - Chmury gęstnieją z minuty na minutę.

- Wiem.

Kiedy po nią przyjechał, ostrzegł, że pogoda chyba się pogarsza, i zasugerował odłożenie wyprawy do następnego dnia. Ale ponieważ w prognozie, którą otrzymała rano, nie zapowiadano burzy, postanowiła nie zwlekać.

- Powiedziałam też szeryfowi, że do niego dzisiaj przyjadę. Lecz naprawdę nie chciałam odkładać rozmowy z Redem i Burtem na później. Mam nadzieję, że dowiem się od nich czegoś pomocnego. - Przerwała na chwilę. - Szeryf będzie musiał jeszcze trochę poczekać na moje odciski palców.

- Dobrze. Spojrzała na niego.

- Nie musiałeś jechać.

- Musiałem - odparł cicho. - Ale możemy jeszcze wrócić. Powiedz tylko słowo.

- Chcę jechać. Im szybciej się dowiemy, kto naprawdę zabił - Cody'ego, tym lepiej dla mnie. - Jakoś szybko się przyzwyczaiła do używania liczby mnogiej. - Poza tym ta furgonetka da sobie radę z odrobiną śniegu.

- To prawda. Z odrobiną tak. Niestety, pogoda robi się coraz gorsza.

Ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć czegoś za ostro. Upomniała się w myślach. Przecież on tylko próbuje pomóc.

- Nic się nie martw. Już prawie jesteśmy na miejscu.

Rzeczywiście po kilku minutach dojechali. Zaczęło się ściemniać. Des się nie pomylił w swoich przepowiedniach pogodowych. Padało coraz mocniej.

- Nie widać znaku życia.

Spojrzała, gdzie wskazywał. Na śniegu nie widać było żadnych śladów, a z komina chaty nie wydobywał się dym. Kit wyszła z auta.

- Muszą być gdzieś w okolicy. Na pewno niedługo wrócą.

- W takim razie czemu nie wejdiesz do środka? - zapytał, skrecając za róg chaty. - Przyniosę drewna.

- Pomóc ci? - zawołała za nim.

- Nie. Wzruszyła ramionami i weszła do środka. Zaraz za drzwiami znalazła lampę olejową. Zapałki leżały na półce. Zapaliła lampę, uniosła ją do góry i rozejrzała się dookoła. Nie pamiętała, czy już kiedyś była w tej chacie. Była w wielu, wszystkie wyglądały mniej więcej tak samo - wydawały się przede wszystkim praktyczne, ale niekoniecznie spartańskie.

Przy tylnej ścianie stały łóżka piętrowe, kilka również przy jednej z bocznych ścian. Brzuchaty piecyk zajmował honorowe miejsce na środku. Była też kuchenka i łazienka. Mimo chłodu wszystko razem robiło przytulne wrażenie.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wsypał się śnieg. Des otrzepał buty i wszedł do chaty.

- Zaraz będzie tu ciepło. - Zamknął za sobą drzwi kopniakiem, po czym uklęknął przed piecykiem i naładował go drewnem. - Jesteś głodna?

- Nie wiem. Szczerze mówiąc, jedzenie to ostatnia z rzeczy, o jakich dzisiaj myślę.

Postawiła lampę na stole.

- No, to pomyśl o nim teraz. Bez zaglądania do szafek mogę ci powiedzieć, że pełno tu zup, puszek z fasolą i nie wiem czego jeszcze. Kto pracuje na ranczu, ma wilczy apetyt.

- Wskazał głową w kierunku kuchenki. - Widzisz tam gdzieś lodówkę? Czasem zjawia się tu samochód ze świeżym jedzeniem i lodem. Może mamy szczęście.

- Sprawdzę - odpowiedziała.

Musiała się czymś zająć. Za bardzo skupiała się na siedzeniu i czekaniu.

- A ja wyjdę na zewnątrz i przyniosę więcej drewna. Być może przyjdzie nam spędzić tutaj trochę czasu.

- Zapalę kilka lamp.

Zajęła się zagęszczaniem kilku puszek zupy, do których dodała fasolę. Po zaimprovizowanym posiłku zrobiła świeżą

kawę. Kiedy perkotała na kuchence, Des pozmywał, a ona odłożyła naczynia na miejsce. Tak szybko skończyli, że znowu nie miała żadnego zajęcia.

- Wciąż chcesz czekać? - zapytał. Nie miała ochoty się teraz poddawać. Kiwnęła głową.

- Na pewno są już w drodze powrotnej.

- Dobrze, jak wolisz. Postawił krzeselko przy brzuchatym piecyku i zaprosił ją gestem. Pokręciła głową. Usiadła na jednym z łóżek, a on zajął krzeselko.

- Miło tu. - Odruchowo wyciągnął przed siebie długie nogi. - Wiele wieczorów spędziłem w chatach w różnych częściach rancza, nie robiąc nic więcej niż teraz. Czasem grałem w domino albo czytałem. - Spojrzał na Kit. - Większość dzieciaków ma telewizory, ja miałem to ranczo i ludzi na nim pracujących.

Zazdrościła mu pewności siebie i zadowolenia. Posiłek ani trochę jej nie uspokoił. Nerwy miała napięte jak postronki. Bynajmniej nie z powodu zamieszania w morderstwo, a raczej z powodu Desa i sposobu, w jaki na nią patrzył...

- Najwyraźniej dobrze wspominasz dorastanie na ranczu.

- Pewnie. Zazdrościła mu tego. Ranczo i praca dawały jej wielką satysfakcję, ale czasami, kiedy nie zachowywała ostrożności, opanowywały ją złe wspomnienia. Potrafiły przesłonić dobre.

- Opowiedz mi. Spojrzał na nią pytająco.

- Naprawdę?

- Tak. Zabawnie będzie poznać zupełnie inny punkt widzenia. - A poza tym musiała się na czymś skupić, żeby nie myśleć o tym, że są sami w odległej chacie podczas zamieci śnieżnej.

- Dobrze. Tak się składa, że mam kilka wspomnień związanych z tobą, wszystkie zimowe.

- Ze mną?

- Tak. Chcesz posłuchać?

- Pewnie. Wieść, że w przeszłości zdołała ściągnąć na siebie uwagę

Desa, była zdumiewająca.

- Niech pomyślę... Kiedyś jechałem z ojcem i zobaczyłem cię. - Uśmiechnął się. - Miałaś może dwanaście, trzynaście lat. Jeździłaś sama na łyżwach na tym zamarzniętym stawie za stodołą dwudziestą szóstą.

Zamrugła oczami, próbując sobie przypomnieć ten moment. Jednak jego złagodniałe rysy rozpraszały jej uwagę.

- Miałaś na sobie stare dzinsy i wyblakły zielony sweter. A włosy związałaś w koński ogon. - Zachichotał. - Był bardzo twarzowy, ale nie był w stanie ujarzmić tych twoich włosów.

Nagle zdała sobie sprawę, jak wygląda. Dzinsy i sweter były jej normalnym strojem zimą. Tak była ubrana również teraz. Odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk włosów.

- Nie - zabrzmiało bardzo cicho, ale Kit to usłyszała i zastygła. - Masz wspaniałe włosy. Zawsze takie były i zawsze takie będą.

Des siedzący naprzeciwko niej - nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. A co do odpowiedzi... Już to raz zrobiła i zawiodło ją to do miejsca, do którego już nie chciała trafić, bo sobie nie ufała.

- Dziękuję - mruknęła pod nosem.

Przez kilka długich chwil nie odrywał od niej wzroku. Nie wiedziała, o czym myślał.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Poruszałaś się z takim wdziękiem - ciągnął Des. - I niech mnie kule biją, byłaś taka piękna. Pierwszy raz w życiu, choć nie ostatni, żałowałem, że nie jestem malarzem i nie mogę cię uchwycić w tym momencie. Lecz szczerze mówiąc, myślę, że nie ma na świecie artysty, który byłby na to dość dobry. Byłaś wtedy na łyżwach wcieleniem urody i energii. - Przerwał, po czym dodał: - Tak samo, jak dzisiaj.

Kiedy skończył, brakowało jej tchu. Nie miała pojęcia, jak zareagować na jego słowa. Ani nawet jak pomóc sobie samej.

- Była jeszcze inna sytuacja. Miałaś wtedy piętnaście albo szesnaście lat. Młody wół wszedł na jeden z zamarzniętych stawów, tam, gdzie lód był cienki. Wpadł do wody i tonął. Ale ty go znalazłaś i ze wszystkich sił starałaś się ocalić.

- A co robiłam?

- Jakoś udało ci się zawiązać mu linę dookoła szyi, której drugi koniec przymocowałaś do siodła. Twój koń się cofał, próbując wyciągnąć wołu, ale tobie to nie wystarczało. Weszłaś na lód i ciągnęłaś za linę.

Przyszło jej do głowy, że nie ma powodu pamiętać tego konkretnego wydarzenia. Żyjąc i pracując na ranchu przez wiele lat, była zmuszona robić różne rzeczy. Kiedy tylko mogła, próbowała ukraść trochę czasu tylko dla siebie. A jednak Des to pamiętał.

- Miałem wrażenie, że ten cholerny cielak wciągnie cię pod lód. Zahamowałem, wyskoczyłem z samochodu i już miałem do ciebie biec. Ale byłaś szybsza. Nim postawiłem nogę na ziemi, ty i wół byliście już bezpieczni. - Zachichotał znowu. - Nigdy nie zapomnę miny, z jaką walczyłaś o zwierzę. Całkowita, absolutna determinacja. I nigdy nie zapomnę śmiechu, jakim wybuchnęłaś, gdy wszystko się dobrze skończyło.

Wstał i podszedł do łóżka, na którym siedziała. Materac ugiął się nieco pod jego ciężarem.

- Tego się nie da zapomnieć. - Musnął delikatnie jej włosy. - A sam śmiech. Brzmiało w nim rozradowanie, które...

Jego bliskość nie powinna tak na nią działać. Jednak zawsze działała piorunująco. Zawsze. Czowała, jak powietrze przeszkadza jej oddychać. Nie powinna też troszczyć się o to, co on jeszcze powie, ale nie mogła przestać o tym myśleć.

- Które?

- Zapamiętałem.

- Ja... ja nie pamiętam nawet, że byłeś w pobliżu, kiedy coś takiego się działo.

- Pewnie, że nie. Za każdym razem byłaś zupełnie zaabsorbowana tym, co robiłaś. Czasem zdarza mi się jeszcze widzieć u ciebie ten sam wyraz zaaferowania i determinacji.

- Czemu nie dałeś znać, że tam byłeś? Wzruszył ramionami.

- Chyba kiedy uznałem, że jesteś bezpieczna, pochłonęło mnie przyglądanie ci się. Poza tym, kiedy teraz o tym myślę, jestem zadowolony, że tego nie zrobiłem.

Zdumiewał ją, wprawiał w konsternację.

- Dlaczego?

- Bo kiedy tylko pojawiałem się w pobliżu, robiłaś się nieśmiała. W ten sposób zniszczyłbym piękną chwilę.

Miał rację. Gdyby wiedziała, że on tam jest, byłaby bardzo skrepowana. A gdyby wiedziała, że on się jej przygląda, pewnie by ją sparaliżowało.

- Ale uwierz mi, kiedy mówię, że za każdym razem byłaś absolutnie cudowna. - Zsunął dłoń na jej kark i przyciągnął ją bliżej do siebie. - Byłaś cudowna wtedy i jesteś teraz.

Ledwie zdołała stłumić jęk. Nie dawał jej szansy.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Wiem, że nie. Między innymi dlatego jesteś taka czarująca.

- Des, myślę... Przycisnął dwa palce do jej warg.

- Potrafię niemal czytać w twoich myślach.

- Mam nadzieję, że to nieprawda. Uśmiechnął się.

- No, dobrze, może umiem czytać tylko trochę. A to trochę mówi mi, że zeszłej nocy rzeczy prawie wymknęły nam się spod kontroli, a teraz wszystko wygląda inaczej.

Tę część rzeczywiście odgadł. Odchrząknęła.

- Jeśli chodzi o ścisłość, wczoraj nic między nami nie zaszło.

- Kogo próbujesz oszukać? Ja też tam byłem, pamiętasz? I zdecydowanie, coś zaszło. Przyznaj to.

W jej żyłach zaczął krążyć ogień.

- No, dobrze, coś między nami było. Była... przeszłość.

- A co w tym złego? Przeszłość jest dobra. Można na niej budować.

Rozejrzała się dookoła gorączkowo, szukając czegoś, co mogłoby odwrócić jej uwagę od Desa.

- Wiesz, jestem pewna, że chłopcy zaraz tu będą. Jego usta były coraz bliżej jej warg.

- Chociaż może zdecydowali się wrócić na ranczo. Czują jego oddech na wargach.

- Może tak.

- Mogli też rozbić obóz w pobliżu stada.

- Tak. . Kiedy w końcu poczuła wargi Desa, każda część jej ciała płonęła. Jakby trawił ją wielki pożar, który ogarnia wszystko, co spotka na swojej drodze.

To nie powinno iść tak łatwo, pomyślała. Fakt, że on chciał ją pocałować, nie oznaczał, że musiała oddawać pocałunek. Ale jej wargi otworzyły się przed nim bez żadnego wahania. Żołądek się zacisnął. Coś w okolicach serca zadrżało. Ogień wypełnił każdy por, dosięgnął każdego

nerwu. A kiedy otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie, poddała się bez oporów. Czuła się tak dobrze, tak wspaniale.

Nie potrafiła już dłużej walczyć ze swoim uczuciem do Desa. Po co nawet próbować, skoro wszystko w niej wołało, że na wyciągnięcie ręki ma wielką namiętność? Chciała tego, potrzebowała tego i pozwoliła sobie to wziąć.

Położyła dłoń na jego piersi i wyczuła pod palcami silne łomotanie serca. Pragnął jej. Ta wiedza dała jej nowe poczucie pewności siebie.

Zdjął jej sweter przez głowę. Miała bardzo skąpy staniczek, który zsunął w jednej chwili. Wystarczył jeden ruch palcami i beżowa koronka opadła.

- Pragnę cię. Kto to powiedział? On czy ona?

- Pragnę cię - powtórzył Des.

Czy to stwierdzenie faktu, czy ostrzeżenie? Nie miało to najmniejszego znaczenia. Głos Desa był głębszy i bardziej chrapliwy niż kiedykolwiek. I był to kolejny dowód na to, że ona działała na niego nie mniej, niż on na nią.

- Powiedz, że ty też mnie pragniesz - szepnął, owiewając jej piersi gorącym oddechem.

- Pragnę cię. Jęknął, uniósł głowę i pocałował ją znowu. Całował ją coraz namiętniej, bez końca.

Kocha Desa.

Kit zamknęła oczy, kiedy ta prawda uderzyła w nią z siłą tornado. Przyniosła z sobą tysiące myśli i obaw. Co robić?

Dzień był piękny, czysty i chłodny. Słońce iskrzyło się na nieskazitelnej warstwie śniegu, który spadł w nocy, ale uroda poranka nie zwróciła uwagi Kit. Wszystkie jej myśli wypełniał Des. Jego milczenie dudniło jej w uszach, kiedy jechali ośnieżonym szlakiem w stronę sekcji północno - zachodniej numer 158.

Właściwie prawie się nie odzywał, odkąd opuścili chatę, ale nie musiał mówić. Wiedziała, co się z nim dzieje. Sama też nie czuła się normalnie.

Nawet kiedy poddawała się, dla niej było to coś więcej niż seks. Niestety, z tą samą pewnością czuła, że dla Desa to był tylko i wyłącznie seks.

Teraz, w świetle dnia, Des był najwyraźniej zażenowany.

Przez lata z powodzeniem unikał pól minowych przygotowywanych przez nią i jej siostry. A teraz wystarczyła jedna śnieżna noc i jego opór został złamany.

Lecz to nie była jego wina. Pojawiły się okoliczności, które złamałyby nawet anioła. On też się poddał. Jednak teraz musi tego bardzo żałować i zastanawiać się, jak wybrnąć z tej pułapki.

Poza tym to bardzo krępujące obserwować go, gdy próbuje z wdziękiem wycofać się z jej życia. Za bardzo go kochała, żeby na to patrzeć. Musiała mu jakoś pomóc. Później zastanowi się nad tym, jak pomóc sobie samej.

- Wiesz, ostatnia noc była naprawdę ważna - oznajmiła, żeby dodać mu otuchy, a wewnątrz się wzdrygnęła.

Powiedziała to bez zastanowienia, dlatego powiedziała nie to, co powinna.

- Czy to dobrze?

W jego głosie usłyszała szczyptę sarkazmu. To ją zaalarmowało i podpowiedziało, że on nie jest w najlepszym humorze. Nie mogła go winić.

Zdawała sobie sprawę z tego, że inna kobieta mogłaby uznać wspólnie spędzoną noc za podstawę do stawiania żądań, nawet planowania wspólnej przyszłości. Ale nie musiał się niczego obawiać z jej strony. Była realistką. Rozumiała aż za dobrze, że to co się stało, było jednorazowe. Noc przepelniona ekstazą, którą zapamięta do końca życia, która nie miała się powtórzyć.

Des był mężczyzną, a mężczyźni są ekspertami w dzieleniu życia na odcinki i zapominaniu rzeczy, których wygodniej jest nie pamiętać.

- Po prostu nie chcę, żebyś się martwił. Nie myśl, że widzę we wczorajszej nocy więcej, niż w rzeczywistości było.

- I mam ci za to podziękować? - w jego głosie wyraźnie brzmiała złość.

Spuściła głowę i wlepiła wzrok w ciasno splątane palce.

- Przepraszam, Des.

- Za co?

- Za mnóstwo rzeczy. Za to, że czujesz przeze mnie, choć nie miałam takich intencji, iż powinieneś mi pomóc znaleźć zabójcę Cody'ego. Ale przede wszystkim przepraszam za to, że nie posłuchałam cię, kiedy mówiłeś, że pogoda się pogarsza.

Machnął niecierpliwie ręką.

- O to się nie martw.

- Ale się martwię. Ja...

- Zapomnij o tym. Nikt nie jest w stanie dokładnie przewidzieć pogody w Teksasie. Nie udaje się to nawet profesjonalnym meteorologom. Dlaczego myślisz, że mogłaś zrobić to lepiej?

- Ty wiedziałeś.

- Tylko zgadywałem.

- Sama powinnam to przewidzieć, ale byłam za bardzo zajęta swoimi problemami.

- To jest zrozumiałe.

- A jednak...

- Nic mi nie jesteś winna, Kit. A już na pewno nie przeprosiny. O, są. - Wskazał na dwójkę mężczyzn, którzy przerwali pracę przy płocie i patrzyli w ich stronę. Zatrzymał samochód. - Dasz radę z nimi porozmawiać?

- Oczywiście.

- Daj znak, gdybyś potrzebowała pomocy.  
- Dobrze. Zwlekała przez chwilę. Jego obcesowość była nieznośna.

Świadomość tego, że go kocha, była nowa i oszałamiająca. Trzeba szybko odzyskać nad sobą panowanie. Jakoś będzie musiała poradzić sobie z tą miłością. I to sama. Martwił ją jego trwały zły nastrój. Postanowiła podjąć jeszcze jedną próbę.

- Des, może powinniśmy o tym porozmawiać.  
- Chodzi ci o to, co się zdarzyło zeszłej nocy? Dobrze wiedział, co miała na myśli. Co było dowodem na to, że i jemu chodziło to po głowie.

- Tak. Machnął ręką.

- Stało się. Było wspaniale. Nie ma o czym mówić.

Przez chwilę siedziała nieruchomo. Przyswajała jego brutalne odrzucenie i zastanawiała się, co ma na to powiedzieć. Szukała czegoś, co rozluźniłoby rosnące napięcie. Bezskutecznie.

A ponieważ nie miała nic innego do zrobienia, wysiadła z furgonetki i poszła się przywitać z dwójką mężczyzn, którzy pracowali na ranczu, odkąd sięgała pamięcią.

- Dzień dobry, chłopcy. Burt pomachał do niej.

- Cześć, Kit, Des. Był wysoki i chudy jak patyk. Ciągłe żuł wykałaczkę.

- Miło was widzieć - powiedział Red z uśmiechem na zniszczonej twarzy.

Kiedyś był rudy jak wiewiórka, lecz z wiekiem jego włosy przybrały odcień piasku.

- Was też. Rozbiliście wczoraj obóz? Burt splunął tytoniem w stronę ogrodzenia.

- Tak było łatwiej niż wracać w tę zadymkę.

- Baliśmy się, że możemy się zgubić - dodał Red.

- Nie było wam zimno?

- Nie - odparł Red, wskazując na śpiwór przytroczony do siodła. - Domowe warunki.

Burt poprawił kapelusz.

- Ja to właściwie wolę spać pod gołym niebem. Nie lubię tłoku.

Des się uśmiechnął.

- Wiedziałem, że to powiesz. Ale dobrze wiedzieć, że nie zmarzłicie.

Kit włożyła ręce do kieszeni dzinsów. Uderzyła ją pewna myśl. Gdyby mężczyźni wrócili wczoraj do chaty, ona i Des nie poszliby do łóżka. A gdyby to się nie stało, czy przyznałaby przed sobą, że go kocha? Czy też raczej dalej brnęłaby po omacku przez życie, nie zdając sobie sprawy z własnych uczuć? I wreszcie - co byłoby lepsze?

Ostatecznie, to nie miało znaczenia. Od teraz jej życie będzie trudniejsze, ale wiedziała, że wspomnienie ostatniej nocy z Desem będzie jej pomagało przetrwać ciężkie chwile.

- Posłuchajcie, chłopcy, chciałam was zapytać o kilka spraw. To ma związek z Codym Inmanem.

Red pokręcił głową.

- Słyszałem, co się stało. Burt znowu splunął.

- Szok tak się dowiedzieć, że kogoś zamordowano.

- Zgadza się - poparł go Red. - To pierwszy raz. Burt potwierdził to chrząknięciem.

- My też tak to odbieramy - powiedział Des. Kit przestąpiła z nogi na nogę. Nie mogła znieść tego gawędzenia.

- Czy znacie jakiegoś wroga Cody'ego, kogoś, kto mógł nawet pragnąć jego śmierci?

Red gwizdnął.

- A niech mnie, Kit, to dopiero pytanie.

- Widzisz, myśmy go właściwie słabo znali - dodał Burt. Kit westchnęła cicho. Pewnie powinna sformułować pytanie nieco bardziej taktownie. Rzecz w tym, że poza morderstwem



miała teraz na głowie Desa i uczucie do niego. Dyplomacja przekraczała jej możliwości.

- Ujmę to inaczej. Czy wiecie o nim coś, co mogłoby pomóc odnaleźć zabójcę?

Obaj mężczyźni wlepili w nią wzrok.

- Nic a nic? - zapytał Des. Red wzruszył ramionami. Burt spojrzał na Kit.

- Chodzą słuchy, że miałaś z nim jakieś kłopoty.

- Zgadza się. Red kiwnął głową.

- Miał reputację uwodziciela, ten Cody.

- Co masz na myśli? - syknął Des.

- To był ktoś, kogo można by nazwać... przepraszam, że mówię to przy tobie, Kit... kobieciarzem.

- Jak dwa razy dwa jest cztery - potwierdził Red. - Rasowy był z niego podrywacz. Miał cię na oku, Kit.

- Chyba tak. - Szkoda, że nie uświadomiła sobie tego wcześniej. - Wiecie o czymś, co mogłoby nam pomóc?

Znowu powiedziała „nam”. Zaczynało jej to wchodzić w krew. Burt pokręcił głową.

- Właściwie nie.

- Żadnych dat ani godzin - powiedział Red. - Słyszałem, że była jakaś kobieta w El Paso, która omal się nie rozwiodła z mężem dla Inmana. Ale Inman nie był typem żonkosia, więc wziął nogi za pas i wyniósł się z miasta.

Burt wyszczerzył zęby.

- A jej mąż zaczął mu deptać po piętach. Kit spojrzała na Desa. Ciekawa była, czy myśli o tym samym, co ona. Pierwszy raz usłyszała o Codym i innych kobietach. Czy to możliwe, że zginął z powodu którejś z nich? A jeśli, to której?

- Pewnie to była tylko kwestia czasu, nim ktoś złapał za podnośnik i ruszył z tym na drania.

- Podnośnik? - Des był pierwszy z pytaniem. - Myślisz, że zabito go podnośnikiem?

Red nagle zaczął się kręcić.

- No, sam nie wiem. Tak sobie gadałem, rozumiecie.

- Pewnie - uśmiechnęła się uspokajająco Kit. - Dzięki za pomoc, chłopcy.

Burt splunął po raz kolejny.

- Chyba nie za bardzo pomogliśmy. Czoło Reda całe się pomarszczyło. Martwił się.

- Hej, Kit, chyba nie jesteś w prawdziwych kłopotach? Przez chwilę zwlekała z odpowiedzią.

- Nie, pewnie, że nie.

- Bo jeśli chcesz, żebyśmy coś zrobili w sprawie szeryfa, zabierzemy się do tego z ochotą.

Ujęła ją ich skłonność do pomocy. Rzecz w tym, że z coraz większą jasnością docierało do niej, iż dużo większe kłopoty czekają ją w związku z zakochaniem się w Desie, a nie ze strony szeryfa.

- Doceniam to, chłopcy. Naprawdę. Ale poradzę sobie.

- No, to dobrze - powiedział Burt.

Des miał wrażenie, że powrót na ranczo zabrał dwa razy tyle czasu, co droga w przeciwnym kierunku. Ale pewnie to jego wina. Od początku drogi powrotnej Kit była nieznośnie grzeczna w stosunku do niego. Niech ją, przeprosiła nawet za to, że chciała zostać w chacie i poczekać na Burta i Reda.

To okazało się najlepszym kawałkiem całej wyprawy. W rzeczywistości przeproszała za to, że się kochali. To było jasne jak słońce.

Jej postawa go irytowała. Skąd się jej wziął pomysł, że za coś należy przeproszać? To on zaczął, mówiąc jej o swoich, związanych z nią, zimowych wspomnieniach. Kiedy mówił, zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo jej pragnie. To było tak proste, a jednocześnie tak skomplikowane. Potem nie był w stanie trzymać rąk z dala od niej. I nie zamierzał za to przeproszać.

To również on pierwszy ją pocałował, kiedy miała siedemnaście lat. Zaciśnął dłonie na kierownicy na wspomnienie tego letniego wieczoru sprzed lat. Była taka piękna, z zielonymi oczami pociemniałymi od łez i słomą wplątaną w rude włosy. Pragnął jej wtedy ze wszystkich sił, ale musiał się pohamować. Miała tylko siedemnaście lat. Była zbyt młoda i niewinna.

Ostatniej nocy stało się inaczej. Nie widział powodu, żeby przestać. Była teraz starsza, bardziej doświadczona. A także, jeśli to w ogóle możliwe - jeszcze piękniejsza. I również tego chciała.

Dwoje świadomych, dorosłych ludzi spędziło razem noc. Zawsze dotąd w takiej sytuacji wiedział, co będzie rano. Jeśli nie miał ochoty więcej się widywać z kobietą, mówił jej po prostu „do widzenia” i koniec na tym. Jeśli chciał się spotykać, przysyłał kwiaty, a potem dzwonił.

Tym razem nie wiedział, co ma zrobić. Kit działała na niego tak, jak żadna inna kobieta. A ostatnia noc była czymś więcej, niż tylko kolejnym zimowym wspomnieniem do duchowego pamiętnika. To zapisało się w jego ciele.

Była taka niezależna, taka dzika. Wiedział, co oznaczały jej przeprosiny. Próbowwała uprzejmiem postawić tamę wszelkim dalszym osobistym więziom między nimi. Jeśli rzeczywiście o to jej chodziło, zmusi ją jakoś do zmiany zdania.

Kiedy planował powrót do domu, myślał przede wszystkim o tym, żeby dowiedzieć się, dlaczego zaczęła go unikać, gdy jej siostry wyszły za mąż. Wciąż nie poznał odpowiedzi na to pytanie, ale jakoś przestało mieć to takie znaczenie. Wszystko się zmieniło. Teraz miał więcej powodów, by być z nią sam na sam. Zamierzał wykorzystać te okoliczności.

Kiedy sprawa morderstwa Inmana przestanie im wisieć nad głowami, ten pretekst zniknie. Miał nadzieję, że do tego

czasu nie będzie musiał szukać innych pretekstów, by z nią być. Ale nawet gdyby musiał, to znajdzie. Kiedy ją już miał, nie było siły na ziemi, która by go od niej oderwała.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Des zatrzymał samochód przed domem Kit i wskazał w stronę znajomej furgonetki.

- Wygląda na to, że Ada de la Garza znów tu jest.

- Ktoś musiał ją wpuścić do środka. - Kit popatrzyła na drzwi wejściowe.

- Pamiętaj tylko, że nie musisz jej nic mówić. Nie pozwól się wmanewrować.

Kit odgarnęła włosy z twarzy i sięgnęła do klamki.

- Rozumiem, ale wygląda na to, że piętno morderczyni przyłgnie do mnie bez względu na to, czy sobie zasłużyłam, czy nie. A w takim razie powinnam przynajmniej opowiedzieć jej moją wersję historii. Inaczej napisze Bóg wie co.

- Nie bądź głupia, Kit. Ona potrzebuje tylko kilku cytatów do ubarwienia tekstu. Gwarantuję ci, że wyjmie twoje słowa z kontekstu, a z artykułu będzie wynikało, że jesteś winna jak sam diabeł.

- Głupia? Wskoczyła z samochodu, ale gdy ruszyła w stronę domu,

Des stał już obok niej.

- Tylko to jedno słowo usłyszałaś? Jeśli tak, to pozwól, że powtórzę. Nie rozmawiaj z tą kobietą.

- Dam sobie radę sama, Des. Nie mogła uwierzyć, że znowu kłóci się z nim o to samo. To rzeczywiście było głupie. Nie chciała się już z nim sprzeczać. Nigdy więcej. Nie potrafiłaby sobie z tym poradzić, gdy tak dobrze pamiętała ich wspólną noc.

- Zapomniałaś, co się stało, gdy ona tu była poprzednio? O co cię oskarżyła?

- Nie, nie zapomniałam. Właśnie dlatego powinnam z nią porozmawiać. Może będę w stanie popchnąć ją w stronę prawdy. A jeśli mi się to uda, choćby odrobinę, to już coś.

- Kit...

- Nie będziemy się o to sprzeczać, Des. Nie chcę już więcej się kłócić. A teraz, proszę, zejdź mi z drogi.

Ada de la Garza miała na sobie ten sam czerwony kostium, co poprzednio. Tym razem wzięła ze sobą fotografa. Mężczyzna krążył po salonie i sprawdzał natężenie światła.

- Mogę mówić do ciebie Ada? - zapytała Kit. Skoro ta kobieta zwracała się do niej po imieniu, to czemu ona miałaby trzymać się oficjalnych form?

Dziennikarka pokazała w uśmiechu swoje doskonałe zęby.

- Oczywiście, że tak. Kit, opowiedz mi o swoim związku z Codym. Zaczynaj, proszę, od samego początku.

- Ado, musisz zrozumieć, że nie było żadnego związku. Spojrzała na Desa. Stał oparty o futrynę drzwi i patrzył to na reporterkę, to na fotografa, to na Kit. A za każdym razem, kiedy kierował wzrok na nią, Kit czuła przyływ gorąca. Potarła czoło, żeby uwolnić się od tego uczucia. Nie pomogło.

Pamiętała każdy szczegół ich wspólnej nocy. Miała wrażenie, że zaledwie kilka minut temu byli w chacie, w objęciach.

- Ależ, Kit, przecież byłeś z nim wieczorem przed morderstwem. Ludzie was widzieli.

- Zgadza się, ale to nic nie znaczyło. Ada pokręciła głową.

- Nie. Ludzie, którzy was widzieli, twierdzą, że to nie wyglądało na nic nie znaczące. Wręcz przeciwnie, według nich temperatura uczuć była bardzo wysoka. Kit, możesz wiele zdziałać za pomocą swoich pieniędzy, ale nie możesz zmienić przeszłości.

- Jeśli myślisz, że to właśnie robię, to jesteś w wielkim błędzie.

Ada uniosła wymownie lewą brew.

- Świetnie piszę, ale nie mam bladego pojęcia jak opowiedzieć tę historię, żeby czytelnicy uwierzyli w twoje słowa.

- To może napisz po prostu prawdę?

- Jaka? Ta kobieta była prawdziwą diabolicą. Mimo to Kit musiała próbować ją przekonać.

- Nie było nic więcej ponad tańce. Cody sobie za dużo wyobrażał.

- Naprawdę? Jejku, jejku, skoro tylko tańczyliście, to chyba nie powinien sobie za dużo wyobrazać, co?

- Nie. Po raz pierwszy od początku rozmowy kobieta coś zanotowała.

- Dlaczego w takim razie sobie wyobrażał? To znaczy, jeśli nic mu nie zasugerowałaś...

- Nie zasugerowałam.

- A co powiesz na to, co wiedzieli inni ludzie?

- Źle zinterpretowali to, co widzieli.

- A niech mnie - powiedziała Ada, zapisując coś znowu. - Jeśli uwierzę tobie, to znaczy, że wszyscy inni się pomylili.

- Słuchaj, obawiam się, że mamy tu do czynienia z przypadkiem, gdy druga osoba, która mogłaby powiedzieć, co się naprawdę wydarzyło, nie żyje. A nawet gdyby żyła, mogłaby nie mówić prawdy. Właściwie wszystko, co mogę opowiedzieć, stawia Cody'ego w złym świetle. To przykre, ale taka jest prawda.

- Przepraszam cię, ale wygląda na to, że nie jest ci specjalnie przykro z powodu jego śmierci.

Nie chciała o tym mówić, ale wiedziała, że nie powinna się wzbraniać.

- Mylisz się po raz kolejny.

- A ty po raz kolejny jesteś jedyną, która ma rację. To fascynujące. - Zaczęła znowu notować. - To pewnie ma związek z twoim bogactwem.

- Nie...

Błysnął flesz. Fotograf pstryknął zdjęcie. Kit się wzdrygnęła, a Ada uśmiechnęła jeszcze szerzej.

- Jeśli nie zamierzasz uwierzyć w moje słowa, to po co się tutaj fatygowałaś?

- Ależ, Kit, zaskakujesz mnie tym pytaniem. Mój zawód nie polega na tym, że wierzę lub nie. Jestem całkowicie neutralna. Moim zadaniem jako reporterki jest relacjonować wersje obu stron.

Wstała.

- W takim razie dlaczego nie zrelacjonujesz tego, co się naprawdę zdarzyło?

Fotograf zrobił kolejne zdjęcie. Nim Kit zdążyła zareagować, Des wziął fotografa za łokieć i wypchnął za drzwi.

Ada powędrowała wzrokiem za mężczyznami. Z wrażenia otworzyła na chwilę usta.

- Przepraszam, ale czy ja się nie mylę? To jest twój dom, prawda? To oznacza, że pan Baron nie ma prawa wyrzucać kogokolwiek za drzwi. Kit wzruszyła ramionami.

- Och, sama nie wiem. Prawdopodobnie ma takie samo prawo, jak fotograf do robienia mi zdjęcia.

- Kit, przyjechaliśmy tu, żeby się czegoś dowiedzieć. Czego się spodziewałaś?

- Profesjonalizmu.

- Pan Baron zachowywał się bardzo opiekuńczo. Czy to znaczy, że z nim też masz romans?

- To nie twoja sprawa. Kit nagle zdała sobie sprawę, że bezsenna noc nie pozostała bez śladu. Czowała się coraz bardziej zmęczona.

- Zgadza się - powiedziała Ada wstając. - Pan Baron potraktował mojego fotografa w sposób dość obcesowy. Jestem pewna, że zrobił mu krzywdę.



- To całkiem możliwe. Chyba powinnaś iść i sprawdzić. Och i nie zapomnij napisać również o tym, co się stało.

- Nie martw się, mój artykuł będzie perełką w swoim rodzaju.

To powiedziawszy, wymaszerowała z promiennym uśmiechem na twarzy. Kit jęknęła i opadła na sofę.

- Poszli sobie - powiedział Des po powrocie, siadając obok niej.

- Przykro mi to mówić, ale bez względu na to, jak źle się zachowywali, wyrzucenie tego faceta za drzwi było wielkim błędem.

Wzruszył ramionami.

- To niech mnie poda do sądu.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby to zrobił.

- Przegra - powiedział śmiertelnie poważnie, a jednocześnie z wielką pewnością siebie.

Kit westchnęła.

- To moja wina.

- Znowu zaczynasz. Czemu wciąż bierzesz wszystko na siebie?

Jeszcze wczoraj odwarknęłyby ostro, ale wczoraj nie wiedziała, jak wspaniale jest z nim w łóżku.

- Cody był prawdziwym draniem, a ja tego nie dostrzegłam. Czemu?

Pogłaskał ją po głowie i przesunął dłoń na kark.

- Odpuść sobie chociaż trochę. Z tego, co mówił Burt i Red, wynikało, że to był niezły podrywacz.

- Co powinnam była dostrzec - dokończyła. Tylko że była zbyt zajęta unikaniem Desa. Westchnęła. - Wiem, ale fakt, że masz rację, wcale nie poprawia mi samopoczucia.

- Rozumiem. A teraz, skoro wrócił temat...

- Jaki temat? Jego dłoń na jej skórze znowu zaczęła czynić cuda. Gdy tylko jej dotykał, robiła się wyjątkowo uległa.

- Raz cię już o to pytałem, ale mi nie odpowiedziałaś. Czemu w ogóle z nim wyszłaś?

Uniosła się i zmieniła pozycję, tak że jego ręka opadła.

- O ile sobie przypominam, odpowiedziałam ci na to pytanie.

- Nie, coś odwróciło naszą uwagę. Chyba miał rację. Łatwo było odwrócić ich uwagę.

- Miałam okazję, by wybrać się na tańce.

- A to dla ciebie ważne? Tak ważne, że poszłabyś potańczyć z każdym?

- On nie był każdym. Zawsze był bardzo miły. Dobrze tańczył i można było się przy nim świetnie bawić. Nie rób z tego zagadki XX wieku, Des. Poszłam z nim na tańce i dobrze się bawiliśmy do czasu... No, sam wiesz, co się stało.

- To niepodobne do ciebie. Tylko tyle.

- A skąd ty możesz wiedzieć, co bym zrobiła, a czego nie? Nie znasz mnie. Tak naprawdę mnie nie znasz.

Tak naprawdę nie miała racji, co zauważyła ze smutkiem. Pod pewnymi względami znał ją lepiej niż ktokolwiek inny. Znał ją tak dobrze, że stwarzało to niebezpieczeństwo dla spokoju jej ducha. Wiedział, gdzie jej dotknąć, gdzie pocałować, żeby zapomniała o wszystkim...

Ale nie wiedział, że ona go kocha. Musiała zadbać o to, żeby się nie dowiedział.

- Nie krytykuję cię, Kit. - Przerwał na chwilę. - No, może trochę, pośrednio, ale nie miałem takich intencji. Rzecz w tym, że kiedy chodzi o B&B i wszystko, co się z nim wiąże, jesteś bardzo sumienna. Zawsze taka byłaś. A ten wieczór, kiedy ty i Cody wybraliście się na tańce, to nie był weekend. Oboje następnego dnia szliście do pracy.

- Co mam na to odpowiedzieć? Masz rację.
- Więc dlaczego? Wypuściła głośno powietrze.
- Czy myśmy już tego nie przerabiali?
- Częściowo, ale wciąż mnie to męczy.
- Słuchaj, nie powinnam była z nim jechać, ale... - Nie mogła mu zdradzić prawdziwej przyczyny. Nie mogła mu powiedzieć, że była to odruchowa reakcja na jego przyjazd. - Mój ojciec postawił sobie za punkt honoru trzymanie się z dala od ludzi, z którymi pracował. Chyba uważał, że to osłabiałoby jego autorytet.
- Skoro o tym wspomniałaś, chyba nigdy nie widziałem go biorącego udział w jakimkolwiek spotkaniu, na którym byli też pracownicy.
- Zgadza się. Uważał, że wszelkie spotkania towarzyskie są błahe. Tolerował je jedynie wtedy, gdy miały związek z interesami, wtedy, kiedy biorąc w nich udział, mógł coś zyskać.
- Przypominam sobie, jak mój ojciec kiedyś coś o tym wspominał. Twój ojciec miał nieciekawe podejście do życia, Kit. Trzeba mu współczuć.
- Współczuć? Co za nedorzeczny pomysł. Wyciągnął rękę i przejechał kciukiem po jej karku. Uśmiechnął się.
- Gdybyś mogła sama siebie usłyszeć... Powiedziałaś właśnie, że wyszłaś z Codym dlatego, że twój ojciec nigdy nie spotykał się ze swoimi pracownikami.
- Siłą musiała odwrócić wzrok od jego warg.
- Mogłam tak powiedzieć. To może być ukryta przyczyna. Ale chciałam się spotykać z ludźmi z B&B przede wszystkim dlatego, że ich lubię.
- A oni lubią i szanują ciebie. Ale...
- Rzecz w tym, że w tym konkretnym przypadku okazałam kiepską intuicję.

- Nie, tu nie ma łatwych odpowiedzi. - Przerwał na chwilę, po czym dodał: - Wiesz, nigdy nie zdawałem sobie sprawy, za ile rzeczy odpowiedzialny jest twój ojciec.

- Mój ojciec nie żyje od dawna, Des. Prawda jest taka, że powinnam być mądrzejsza. Gdybym chociaż na chwilę przestała myśleć... - Potarła czoło.

- To nie twoja wina. Coś musiało się stać. Może to coś związanego z pracą tak cię przygnębiło.

- Nie.

- To co?

- Zapomnijmy o tym. Nie ma sensu w kolko tego wałkować. - Wstała z sofy i zaczęła chodzić po pokoju. - Wyszłam z Codym, a on teraz jest martwy. Szeryf myśli, że to ja go zabiłam, podobnie uważa wielu innych. A my nie znaleźliśmy nic, żeby udowodnić moją niewinność.

Złapał ją za rękę i posadził sobie na kolanach.

- Znajdziemy, Kit. Znajdziemy.

Nagle oplotły ją jego ramiona. Poczowała się całkowicie bezwolna.

- Skąd masz pewność?

- Po prostu mam. Zaśmiała się nerwowo.

- Och, sędzia ci na pewno uwierzy na słowo. Teraz to jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

- Kiedy chcę, potrafię być bardzo przekonujący. Ją w każdym razie przekonał bez trudu.

- Ale jeśli choć jeden z sędziów przysięgłych nie uwierzy...

- Do tego nie dojdzie. W ogóle nie będzie procesu.

- Przecież pierwszego wieczoru powiedziałaś...

- Próbowałem po prostu przewidzieć, co mogłoby się zdarzyć. Myliłem się.

- Wielki Des Baron się pomylił? Trudno uwierzyć.

- Bo to się bardzo rzadko zdarza. Próbował ją rozśmieszyć i była mu za to wdzięczna, ale za

bardzo się bała i nie umiała poradzić sobie ze strachem. Poza tym była zakochana i dlatego czuła się wytracona z równowagi. Trudno się myśli w takim stanie.

- Może mój ojciec miał rację, wierząc, że nie należy zbliżać się za bardzo do swoich pracowników.

- Nie miał racji i dobrze o tym wiesz. - Jego dłoń ześlizgnęła się na jej policzek. Zmusił ją, by na niego spojrziała. - Chcę ci coś powiedzieć, chcę, żebyś w to uwierzyła. Pod każdym możliwym względem odniosłaś według mnie większy sukces niż twój ojciec. On ci nie dorastał do pięt. Niestety, jesteś też niezwykle wrażliwa.

Jego słowa ją zaskoczyły. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Patrząc wstecz, żałuję, że nie próbowałem bardziej się do ciebie zbliżyć, kiedy dorastałaś. Może mógłbym ci jakoś pomóc.

- Nie ma powodu, żebyś się tak czuł. Dawałam sobie radę. Tess, Jill i ja dawałyśmy sobie radę. Nie wiem, dlaczego teraz to wyciągasz.

Musiała znaleźć się jak najdalej od niego. . - Nie jestem pewien. Może z powodu tego, co powiedziałem wczoraj. Że byłaś cudowna wtedy i jesteś teraz. Nie ma powodu, żebyś mnie przeproszała za wczoraj.

- Dobrze. Nie będę. Próbowała się wyrwać, ale jego uścisk się zacieśnił.

- Nie idź. Zostań. Czuła jego silne ramiona dookoła siebie. Nie będzie łatwo

wyrwać się z tych objęć. Lecz przecież niechciana miłość oznacza tylko ból. Po co go podsycać? Nadludzkim wysiłkiem wyrwała się z objęć Desa i wstała.

- Coś nie tak, Kit?

- Nie, nic. Zerwał się na równe nogi.

- To dlaczego próbujesz ode mnie uciec?

- Wcale tego nie robię. Po prostu myślę, że nie powinniśmy dać się ponieść emocjom. Sam to zresztą powiedziałeś. Ostatnia noc się zdarzyła. Było wspaniale. Nie ma o czym rozmawiać.

- Nie miałem racji, kiedy to mówiłem. To nie było tak po prostu wspaniale, to było fantastyczne.

Zrobiła krok do tyłu.

- Wiele się teraz dzieje. Emocje rosną, i to nie tylko nasze. Ale musimy pamiętać, że mogę być oskarżona o morderstwo, a ty jesteś moim prawnikiem.

- Jak dotąd, zgadzam się z tobą w najdrobniejszym szczególe - powiedział stłumionym głosem.

- To dobrze, bo kiedy się nad tym zastanowić, stawki w tej grze są ogromne. Byłoby dużo lepiej, gdybyśmy utrzymali nasz związek na czysto służbowym poziomie.

- I tu się nie zgadzam.

- W takim razie nie myślisz głową. Zacisnął szczękę.

- Jeszcze raz powtarzam, nie zgadzam się z tobą. Pragnęła go ze wszystkich sił, ale nie mogła sobie pozwolić na kolejną wspólną noc. Bo gdyby tak się stało, mogłaby się zdradzić i dowiedziałaby się, że go kocha. A wtedy zniknęłaby z jej życia. I to bardzo, bardzo szybko.

Myślała teraz nie tylko o tym, by ochronić jego. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, że kryją się w niej takie pokłady dumy. Czy potrafiłaby spojrzeć mu w oczy, gdyby wiedział, że go kocha? Nie potrafiłaby.

W sumie sprowadzało się to do tego, że i siebie chciała uratować.

- Ostatnia noc to nie było nic więcej niż jednorazowy romans, Des.

- Ale nieźle nam szło.

W jego kpiącym tonie usłyszała uszczypliwość, która ją zabolala.

- To prawda. Wyciągnął do niej rękę, ale wymknęła mu się.

- Des, posłuchaj mnie, nie chcę więcej iść z tobą do łóżka. Zastygł nagle, a ona poczuła na plecach zimny dreszcz. Oczy mu pociemniały.

- Skoro tak stawiasz sprawę, nie mogę się z tobą spierać.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Dzień dobry.

Kit omal nie zrzuciła filiżanki z kawą na dźwięk głosu Desa, który właśnie wszedł do jej biura. Tym razem miał na sobie ciasne dżinsy i skórzaną kamizelkę narzuconą na niebieską flanelową koszulę.

- Co ty tutaj robisz? Uśmiechnął się krzywo.

- Musisz popracować nad gościnnością, Kit.

- Wiesz, o co mi chodzi. Nie spodziewałam się ciebie zobaczyć po ostatnim wieczorze. W każdym razie nie tak szybko.

Wiedziała, że mówi wszystko nie tak, jak powinna. Jednak zaszła już za daleko i nie umiała się zatrzymać. Może po prostu powinna milczeć.

- Naprawdę myślałaś, że podkulę ogon i schowam się gdzieś jak ranne zwierzę?

Milczenie okazało się niewystarczające. Jego słuszny gniew domagał się odpowiedzi.

- Nie, oczywiście, że nie. Chodzi tylko o to, że kiedy wychodziłeś, byłeś chyba... zdenerwowany.

- Zły, być może. I zdecydowanie zdezorientowany. Mylące sygnały często tak na mnie działają.

I co miała na to powiedzieć? Tym razem zachowała milczenie. Jemu to najwyraźniej odpowiadało. Podeszedł do kredensu i nalał sobie kawy. Dał jej tym samym czas na odzyskanie kontroli nad sobą, co nie było łatwe.

Kochała go, spędzili razem noc. Tego nigdy nie zapomni. I nie będzie żałować. Ale zrobiła coś jeszcze. Podjęła decyzję. Chciała, by odszedł, ale tak, by oszczędzić jej dumę i serce. Powiedziała mu, że to, co się stało, nie ma dla niej najmniejszego znaczenia, podczas gdy w rzeczywistości było najważniejsze.



Patrząc wstecz widziała, że nie zachowała się ani logicznie, ani racjonalnie. Jednak logika i zdrowy rozsądek to były pojęcia rzadko łączone z miłością.

- Dlaczego tu jesteś, Des?

Nie spieszył się z odpowiedzią. Usiadł naprzeciwko niej, skrzyżował nogi i łyknął kawy. Następnie rozejrzał się po biurze, po czym przyjrzał się uważnie filiżance z kawą. Odezwał się w końcu, kiedy Kit miała wrażenie, że jej nerwy zaraz puszcza.

- Dobrze spałaś?

- Po to przyszedłeś? Żeby mnie o to zapytać?

- Dobrze?

- Tak. To była prawda. Mimo burzy emocji zdołała zasnąć i to głęboko. Lecz śniła. I to jak śniła!

- A ja nie.

- To niedobrze. To było automatyczne, kurtuazyjne stwierdzenie. Nie mogła zdobyć się na nic więcej.

- Nie chcesz wiedzieć dlaczego?

- Nie. - Nie wątpiła, co by jej powiedział, zwłaszcza będąc w takim nastroju. - Dlaczego tutaj przyszedłeś?

- Żeby cię zobaczyć. - Przerwał. Jego pociemniały wzrok rozgrzewał ją do białości. - Nie ma szansy, Kit?

- Nie.

- Szkoda. Byłbym wysoce zainteresowany.

- Życie składa się też z rozczarowań.

- Przestań.

- Des? - Tak, Kit? Wzięła głęboki, uspokajający oddech. Bynajmniej jej nie ułatwiał, ale musiała przyznać, że sobie na to zasłużyła. Uniósł uspokajająco rękę.

- Przyszedłem też dlatego, że rano zadzwonił do mnie Bill Ridley.

- Zadzwonił do ciebie?

- Tak, zdaje się, że to właśnie powiedziałem.

Gdyby ktoś inny odezwał się do niej takim zimnym, aroganckim tonem, przypuściłaby werbalny atak, a potem wyrzuciła go za drzwi. Ale to był Des.

- Bo do mnie też zadzwonił.

- To wiesz o tym, że Scooter Garner i Johnny Don Galvez wrócili z Oklahoma City.

On teraz był zawodowcem, podczas gdy ona wciąż była zakłopotana i wytrącona z równowagi.

- Poprosiłam nawet Billa, żeby ich tu przysłał. - Spojrzała na zegarek. - Powinni zaraz się zjawić.

- To poczekam.

- Nie musisz.

- Owszem, muszę. Pamiętasz? Przyszedłem cię zobaczyć, ale poza tym mamy tu przypadek morderstwa, a ja jestem twoim prawnikiem. Wiem, że o tym nie zapomniałaś.

Jego mina przypominała jej tygrysa, jakiego widziała kiedyś na zdjęciach w dodatku do „National Geographic”. To był uśmiech drapieżnika na chwilę przed zaatakowaniem zdobyczy.

- Starczy ci tych powodów, czy chcesz więcej? - zapytał. - Bo jeśli tak, to mógłbym...

- Panno Baron? Kit podskoczyła. Tak była zajęta myślami o Desie i tygrysie, że nie zauważyła wejścia dwójki mężczyzn.

- Scooter, Johnny Don, wejdźcie, proszę, i siadajcie. Obaj mężczyźni byli wyraźnie spięci, ale zdjęli kapelusze i usiedli na krzeselkach. Mieli pod trzydziestkę, byli doświadczonymi kowbojami. Opalona skóra świadczyła o długich godzinach spędzonych na słońcu, a mocno wykształcone mięśnie o ciężkiej, codziennej pracy fizycznej.

- Znacie pana Barona, prawda? - zapytała, próbując trochę ich rozluźnić.

- Pewnie - powiedział Scooter. - Dzień dobry panu. Johnny Don kiwnął głową.

- Dzień dobry.
- Mówcie mi Des.
- Macie ochotę na kawę? - zapytała Kit, wskazując na kredens.
- Nie, dziękujemy - odmówili niemal równocześnie. Westchnęła w duchu. Postanowiła, że najlepiej będzie od razu przejść do rzeczy.
- No, dobrze, poprosiłam, żebyście tu przyszli, bo chciałabym wam zadać kilka pytań związanych z Codym Inmanem.
- Straszne, co mu się stało - powiedział Scooter.
- Cholernie straszne - potwierdził Johnny Don. Każdy, z kim rozmawiali, miał mniej więcej to samo do powiedzenia. Dlatego nie była zaskoczona. Poza tym morderstwo w miejscu pracy sprawiało, że wszyscy robili się nerwowi.
- To rzeczywiście straszne. Próbuję się dowiedzieć, kto mógł go zabić.
- Des odchrząknął.
- Próbujemy - poprawiła się, rzucając okiem w jego stronę. Scooter pokręcił głową.
- Nic nie widziałem.
- Ani ja - powiedział Johnny Don, który wyglądał na lekko zaniepokojonego.
- Nie spodziewaliśmy się, że coś widzieliście. Ale słyszeliśmy, że graliście z Codym w pokera wieczorem przed morderstwem.
- Zgadza się.
- Tak.
- Czy widzieliście albo słyszeliście wtedy coś, co mogłoby nam pomóc znaleźć mordercę Cody'ego?
- Scooter znowu pokręcił głową.

- To była normalna partyjka pokera. Johnny Don poklepał się kapeluszem po kolanie.

- Już graliśmy, kiedy on przyszedł. Niewiele się mówiło poza tym, co związane z samą grą.

- Czy on przypadkiem nie wygrał? - zapytał Des.

- O ile pamiętam, to nie - odparł Scooter.

- Nie, nie wygrał - powiedział pewnym głosem Johnny Don. - Ani grosza.

- Czy to go rozwścieczyło?

- Nie. - Scooter wyszczerzył zęby w uśmiechu. - W pokera raz się wygrywa, a raz przegrywa. Każdy to wie. A jeśli się nie wie, to się nie gra.

Kit miała wrażenie, jakby waliła głową w ścianę. A może nawet gorzej.

- Znacie kogoś, kogokolwiek, kto mógł życzyć mu śmierci? Z zaskoczeniem stwierdziła, że żaden z nich nie odpowiedział od razu.

Scooter spojrzał na Johnny'ego Dona, a potem znowu na nią.

- Zdaje się, że miał swoje wady. Nie był aniołem.

- Jak każdy z nas - mruknął Des. - Ale, niestety, śmierć Cody'ego zwróciła na niego uwagę. Mamy powody, żeby szukać kogoś, kto był na niego tak zły, że mógłby go zabić.

Scooter wzruszył ramionami. . - Myślę, że jest takich osób kilka.

- Głównie kobiety - powiedział Johnny Don. - Potrafił rozkochiwać w sobie kobiety, a potem je rzucał.

Znowu to samo. Sugestia, że w morderstwo może być zamieszana kobieta. To brzmiało całkiem prawdopodobnie. Na B&B pracowało mnóstwo kobiet. Były też żony i córki pracowników. Z tego, co mówili Burt i Red, powinna brać pod uwagę również mężatki.

Przesunęła się na krawędź krzesła.

- Czy macie na myśli coś konkretnego?
- Właściwie nie. Szczerze mówiąc, tamtego wieczora wszystkim nam Cody zalazł za skórę.
- Dlaczego? - zapytał Des. Poprzednio pozwalał jej zadawać większość pytań, ale teraz musiał poczuć, tak jak i ona, że są blisko odkrycia prawdy.
- Johnny Don wlepił wzrok w swój kapelusz, jakby był on najbardziej fascynującą rzeczą na świecie.
- Trochę się przechwalał.
- Tym, że był ze mną na tańcach? - Tak. Właśnie potwierdził jej wcześniejsze podejrzenia. Pierwsza osoba, z którą rozmawiała, Scott McKee, powiedział, że Cody wspominał o wyprawie na tańce. Domyśliła się, że musiał się przechwalać.
- Rzecz w tym - powiedział Scooter - że tego wieczora Cody dał wszystkim w kość. To nie był weekend, a on się upił i plótł bzdury.
- Mike też był na niego zły.
- Mike? Mike Stillwell?
- Mike Stillwell - potwierdził Johnny Don. Odruchowo spojrzęła na Desa.
- To ten, który pojechał na pogrzeb siostry, prawda?
- Tak - odpowiedział Des, kiwając głową. Johnny Don patrzył intensywnie na Desa.
- Nie słyszałem, żeby Mike opowiadał wcześniej o siostrze, ale kiedy wyjeżdżał na pogrzeb, był bardzo zdenerwowany.
- Byli sobie bardzo bliscy - powiedział Scooter. - Kiedyś mi powiedział, że ją wychowywał. Zdaje się, że miała na imię Angie. Pomyślałem sobie, pamiętam, że to ładne imię.
- Więc ich rodzice nie żyją od dawna?
- Tak. Kit miała nadzieję, że nie widać, jak bardzo jest spięta.

Gdyby to było możliwe, wyskoczyłaby ze skóry.

- Czy jest coś jeszcze, co moglibyście nam powiedzieć w związku z Codym?

Johnny Don zaprzeczył gestem.

- Nic mi nie przychodzi do głowy - stwierdził Scooter. Des wstał i podał obu mężczyznom rękę.

- Dziękujemy. Jesteśmy bardzo wdzięczni. Jeśli przypomni wam się coś, co mogłoby być ważne, zadzwońcie, proszę, do panny Baron albo do mnie.

- Oczywiście.

- Jasne.

Kiedy mężczyźni wyszli, Des zwrócił się do niej.

- I co o tym myślisz?

- To ma coś wspólnego z kobietą.

- Zgadzam się. Niestety, wciąż nie wiemy, czy to znaczy, że zginął z rąk kobiety, czy też raczej przez kobietę.

- Zazdrość to całkiem prawdopodobny motyw.

- Być może. Zmarszczyła brwi.

- Czy ja czegoś nie rozumiem?

- Nie. Chodzi tylko o to, że byłem przy wielu sprawach o morderstwo i nauczyłem się jednego. Nie dziwić się, kiedy coś, co wydaje się oczywiste, wcale takim nie jest.

- W tym momencie wszystko wygląda całkiem klarownie. Rozmawialiśmy z wszystkimi, którzy grali z Codym w pokera. Został nam tylko Mike Stillwell. On będzie następny.

- Usłyszała to „nam” i szybko się poprawiła: - Mnie został.

Des uśmiechnął się półgębkiem, ale nie skomentował poprawki.

- Wiesz, Kit, morderca wcale nie musiał grać w pokera. Wstała.

- Przestań mi wprowadzać zamęt w głowie, Des. Będę prowadziła to śledztwo do chwili, gdy zabraknie mi tropów.

- Robisz to, co trzeba. Robisz jedyną rzecz, jaką można zrobić w tym momencie. Nie chcę tylko, byś była rozczarowana, gdyby się okazało, że nic z tego nie wyniknie.

- Nie martw się.

Westchnęła cicho. Oddałaby wszystko, żeby atmosfera między nimi nie była tak napięta. I to ona ponosiła całą winę. Byłoby jej dużo łatwiej to znieść, gdyby go nie kochała...

- Kit? Ktoś idzie. Spodziewasz się jeszcze kogoś?

- Nie, nikogo. Do środka wszedł szeryf Moreno, a za nim kilku ludzi.

- Przepraszam, że przerywam tę... - spojrzał na Desa spod oka - ...to spotkanie służbowe. Przyjechałem zrobić rewizję w pani domu.

- Zrobić co? Des zerwał się na równe nogi.

- Nie może pan tego zrobić.

- Ależ owszem, mogę. - Z uśmiechem wyższości wyciągnął dokument. - Proszę zobaczyć.

Des wziął papier i przeczytał go uważnie.

- Ma nakaz rewizji, Kit.

Kit poczuła, jak pokój dookoła niej zaczyna wirować. Szybko usiadła.

- Musiała zajść jakaś pomyłka. Tego domu nigdy nie przeszukiwano.

To było nie do pomyślenia. Jej dom na ranczu był i miał pozostać nietknięty.

- Nie ma mowy o żadnej pomyłce - powiedział Des, patrząc twardo na szeryfa. - Czego szukacie?

- Czegokolwiek, co pomogłoby nam znaleźć mordercę Cody'ego Inmana. Wciąż szukamy narzędzia zbrodni. A skoro pani Baron nie przyjechała dotąd złożyć odcisków palców, postanowiłem posunąć śledztwo do przodu w ten sposób.

- Co pan planuje?

- Ściągnąłem ludzi z dwóch hrabstw, żebyśmy mogli dokładnie przeszukać budynki na ranchu i stodoły. - Wyszedł do holu i zawołał: - Zaczynajcie!

Kit z przerażeniem patrzyła, jak obcy ludzie rozchodzą się po jej domu. Reszta samochodów pojechała w stronę budynków gospodarczych.

- Chwileczkę, Moreno - powiedział Des. - Proszę obiecać, że pańscy ludzie będą się ostrożnie z wszystkim obchodzić.

- Przywiozłem najlepszych ludzi.

- Nie o to chodzi. Widziałem, jak świetnie wyszkoleni ludzie demolowali domy. I mówię panu, że będzie lepiej, jeśli z wszystkim będą się obchodzić jak z jajkiem.

- Na pewno tak będzie. - Uśmiech szeryfa była bardzo nieprzyjemny. - A tymczasem proszę poczekać tutaj, aż rewizja się zakończy.

- Poczekamy. Ale niech pan pamięta, co powiedziałem. Tym razem szeryf nawet nie próbował się uśmiechnąć.

- Nawet wy, Baronowie, nie stoicie ponad prawem.

- Jest prawo i prawo.

- Jest pan wysoko cenionym prawnikiem, Baron. Wiem dobrze, że mógłby pan tak stać i klócić się ze mną przez cały dzień. Ale nie zamierzam tracić na to czasu. Proszę zostać z panną Baron. Wrócę za kilka minut.

Des patrzył, jak szeryf znika za drzwiami, i walczył z ochotą rzucenia się za nim. Chętnie stłukłby faceta na kwaśne jabłko. Dałoby mu to niesłychaną satysfakcję osobistą, ale wiedział, że w sumie nic by to nie pomogło.

Wrócił do pokoju. Kit była blada jak ściana. Boże, musiał jej jakoś pomóc, a nie wiedział jak. Zaledwie kilka razy w życiu czuł podobną frustrację i bezsilność. Jedyne, co mógł zrobić, to czekać razem z nią.

Ona być może tego nie wiedziała, ale zdawał sobie sprawę z tego, ile znaczył dla niej ten dom. Ciężko pracowała, żeby



zrobić z niego miejsce, które mogła nazywać własnym. Otworzyła go, wpuściła do środka światło, ozdobiła z nienagannym gustem. Odcisnęła na nim osobiste piętno. Nie było tu już śladów jej ojca.

Niech lichy porwie szeryfa.

Kiedy on był z Kit w chacie, ten służbista pracował nad zdobyciem nakazu rewizji. Normalnie Des przewidywał z wyprzedzeniem posunięcia swojego przeciwnika, ale tym razem tak bardzo pochłonęła go Kit, że szeryfowi udało się go zaskoczyć.

I co teraz zrobić?

- Wszystko będzie dobrze, Kit. Jeśli cokolwiek zniszczą, będą mieli ze mną do czynienia.

Skrzyżowała ręce na piersi i kiwnęła drętwą głową.

- Na pewno masz rację. Wolałby, żeby wrzeszczała, a nie przyjmowała wypadki z takim spokojem. Przeczesał włosy zeszywniałymi palcami.

- To wszystko moja wina, przepraszam. Powinienem to przewidzieć.

- To nie jest niczyja wina. Nie jesteś prorokiem.

- Ale jestem prawnikiem. Wiem, jak działa ta machina. Wzruszyła ramionami.

- T o nic.

Z góry dobiegł głośny łomot. Kit spojrzała na sufit. Des miał już dość. Ruszył w stronę drzwi.

- Des, nie. - Jej cichy, spokojny głos sprawił, że stanął jak wmurowany. - Pozwól im pracować. Im szybciej się z tym uporają, tym szybciej stąd znikną.

Jej opanowanie sprawiało, że on zupełnie tracił spokój.

- Powinnaś napić się kawy.

Tak naprawdę, to potrzebował się czymś zająć. Napełnił filiżankę, po czym hojnie dodał do niej brandy. Kiedy się

odwrócił do Kit, musiał się zmierzyć z wbitym w siebie chłodnym spojrzeniem zielonych oczu.

- Jesteś blada - powiedział, wyjaśniając dolanie brandy. Wzięła od niego filiżankę z parującym płynem.

- Tobie też kawa by dobrze zrobiła.

- Masz rację. - Nalał sobie i zdążył wypić mniej więcej jedną trzecią, kiedy w drzwiach stanął szeryf. - Już pan coś znalazł?

- Nie, ale jeszcze nie skończyliśmy.

- Jeśli dotąd nie znaleźliście narzędzia zbrodni, wątpię, czy kiedykolwiek je znajdziecie. Pewnie wylądowało w jednym ze stawów albo przysypał je świeży śnieg.

Moreno wzruszył ramionami.

- Znajdziemy. To może trochę potrwać, ale może pan być pewien, że je znajdziemy.

- Czy ma pan ochotę na filiżankę kawy, szeryfie? - odezwała się Kit.

Przez twarz Moreno przemknął wyraz zaskoczenia.

- Nie, dziękuję. W głowie Desa myśli galopowały w szaleńczym tempie.

Może szeryf trochę zwolni, jeśli będą współpracować? Wskazał na jedno z krzeseł przed biurkiem Kit.

- Proszę usiąść, szeryfie, a ja panu opowiem o naszym śledztwie.

- Waszym śledztwie?

- Proszę usiąść. Niepewnym gestem Moreno przesunął przeszkadzającą broń i usiadł.

- Słuchaj, Baron, może jest pan doświadczonym prawnikiem, ale wątpię, czy pan wie cokolwiek o zasadach prowadzenia śledztwa.

- Coś tam wiem. Spojrzał na Kit, żeby sprawdzić, czy nie dzieje się z nią nic złego, po czym usiadł.

- Wątpię. Zdrowy rozsądek mi podpowiada, że jest pan zbyt zajęty, by prowadzić dochodzenia. Ktoś to robi za pana.

- Zdrowy rozsądek - powtórzyła cicho Kit. - To niezły pomysł.

Rzut oka na szeryfa upewnił Desa, że jej uwaga zastanowiła przedstawiciela prawa. Szeryf pochylił się.

- Baron, nie ma pan doświadczenia w prowadzeniu śledztw i chcę, żeby zostawił to pan mnie. Zbyt wielu ludzi deptających sobie po piętach może tylko zaszkodzić.

Des skinął głową.

- 'Rozumiem, co ma pan na myśli. To może nam pan powie, czego się pan dowiedział do tej pory?

- Jeszcze nie mogę ujawniać informacji. - Moreno spojrział na Kit. - Chcę, żeby przyjechała pani dziś po południu do miasta, żebym mógł pobrać odciski palców.

Des był szybszy od niej. To on zareagował.

- Więc znalazł pan poważne dowody wskazujące na pannę Baron?

- Mam ich wystarczająco dużo.

- Ma pan tylko poszlaki, dobrze pan o tym wie. Panna Baron nie złoży odcisków palców do czasu, gdy będzie pan miał coś konkretnego.

Moreno zmrużył oczy.

- Mogę postawić panu zarzut utrudniania śledztwa.

- Niech pan spróbuje. Na skroni szeryfa pulsowała żyła.

- Jeśli panna Baron nie przyjedzie do miasta w ciągu następnych kilku dni, zdobędę nakaz aresztowania.

- Wie pan, że to niemożliwe.

- Mogę robić, co chcę.

- Tylko przez pewien czas. Obaj to wiemy. Więc niech pan pozwoli, że pana ostrzeżę. Szczerze odradzam aresztowanie panny Baron.

- Niech mi pan nie udziela rad. Dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Kit odchrząknęła.

- Zapewniam pana, szeryfie, że utrudnianie śledztwa to ostatnia rzecz, jakiej byśmy chcieli. Ja nie zabiłam Cody'ego Inmana. Mamy nadzieję, że znajdzie pan tego, kto to zrobił. Jeśli chodzi o niestawienie się na posterunku w celu złożenia odcisków palców, to moja wina. Zatrzymały mnie obowiązki.

- Powiedziała to takim tonem, jakby to rzeczywiście wszystko wyjaśniało. - A co do naszego śledztwa, to spotkaliśmy się po prostu z kilkoma moimi pracownikami. Zresztą nie ma w tym nic dziwnego. Prowadząc ranczo, często się z nimi widuję.

Z rezygnacją szeryf wyciągnął notes i otworzył go na odpowiedniej stronie.

- Z kim pani rozmawiała?

- Z kilkoma osobami, które grały z Codym w pokera wieczorem przed jego śmiercią.

- Z kim?

- Scottem McKee. Moreno kiwnął głową.

- Też z nim rozmawiałem.

- Dowiedział się pan czegoś? - zapytał niewinnym tonem Des.

Szeryf go zignorował. Kit ciągnęła dalej:

- Z Redem Tinsdalem i Burtem Salvatore.

- Mam ich nazwiska, ale nie mogłem ich zlokalizować. Jakiś zarządca powiedział mi, że pracują w południowej sekcji. Pół dnia tam jechałem, a kiedy dojechałem, nikogo tam nie było.

Uśmiechnęła się. Skierowano go w dokładnie odwrotną stronę.

- Nasi pracownicy przemieszczają się w zależności od tego, gdzie akurat jest coś do zrobienia. To się zmienia z godziny na godzinę. Musieli być potrzebni gdzie indziej.

- Moim zdaniem, to cholernie niewydolny system prowadzenia rancza.

- Mamy pewne sukcesy. Jej spokojna odpowiedź sprawiła, że spojrzał na nią ostro.

- Zamierzam znaleźć tych mężczyzn dzisiaj.

- Oczywiście. Nie wiem, z którym z moich zarządców pan rozmawiał, ale poproszę Billa Ridleya, żeby panu pomógł. Powie panu dokładnie, gdzie są ci chłopcy.

- Dobrze. Jej skłonność do współpracy najwyraźniej działała na niego uspokajająco.

- Szeryfie, nikt bardziej niż ja nie chce, żeby to śledztwo się skończyło.

- Nie wątpię. - Zajrzał do notatek. - A co z pozostałą trójką? Podobno Mike Stillwell pojechał na pogrzeb, a dwóch do Oklahoma City. Sprawdźmy... Scooter Garner i Johnny Don Galvez.

- Scooter i Johnny Don już wrócili. Bill Ridley powie panu, gdzie są.

Moreno wstał.

- W takim razie, kiedy tylko moi ludzie skończą z domem, pójdę poszukać Billa Ridleya.

- Świetnie. Wstała i wyciągnęła do niego rękę.

- Szeryfie, wiem, że robi pan, co do pana należy. I jestem za to wdzięczna.

Zatrzymał się i spojrzał na Desa.

- Jak rozumiem, odwiedziła panią Ada de la Garza i pojawił się jakiś problem z fotografem.

Des wzruszył od niechcienia ramionami.

- Nie było żadnego problemu.

- I Ada, i fotograf powiedzieli, że potraktował go pan brutalnie.

- Pokazałem mu tylko drzwi.

- Oboje użyli terminu „brutalnie”.

- A ja wolę termin „stanowczo”.
- Nie mam czasu na słowne gierki, Baron. - Moreno skinął głową w stronę Kit. - Wrócę tu.
- Nie ruszam się z miejsca. Kiedy tylko wyszedł z pomieszczenia, Kit opadła na krzesło i wypila resztę swojej kawy z alkoholem. Smakowała jej, więc naląła sobie drugą. Des zaczął ją chwalić.
- Rewelacyjnie sobie z nim poradziłaś. Dużo lepiej niż ja.
- To dlatego że zawsze, kiedy on jest w pobliżu, ponoszą cię nerwy.
- Widziałaś mnie rozdrażnionego, ale jeszcze nigdy nie widziałaś, jak ponoszą mnie nerwy. On też nie.
- Jeśli mówił prawdę, to miała nadzieję, że nigdy tego nie doświadczy.
- Uznałam, że nic nie stracę na współpracy.
- I masz rację.
- Niestety, tym razem nie poczuła się lepiej. Nic jej nie pomogło.
- Ale nie wezmą od ciebie odcisków palców.
- Jak chcesz.
- Masz talent, wiesz? Potrafisz spełnić zachcianki zarówno szeryfa, jak i moje.
- Uśmiechnęła się. Bez względu na okoliczności zaczynała się przyzwyczajać do ciągłej obecności Desa. To się skończy, kiedy znajdą mordercę. I jak ona to zniesie?
- Lepiej zadzwonię do Billa Ridleya. Kiwnął głową.
- Właśnie miałem ci to zasugerować. Podniosła słuchawkę i wybrała numer.
- Bill, tu Kit. Szeryf do ciebie jedzie. Po drugiej stronie słuchawki Bill zaklął soczyście.
- Traci czas.
- Tylko nie kłam dla mnie. Po prostu odpowiadaj na jego pytania.

- Pewnie, pewnie, ale, wiesz, mam ostatnio słabą pamięć. To chyba sprawa wieku.

- Bill, doceniam twoją lojalność. Lecz ja nie mam nic do ukrycia.

- Zastrzel mnie, jeśli kiedykolwiek myślałem inaczej. Ale z tego, co słyszę, wynika, że ten facet to łotr.

Napiła się kawy z brandy.

- Tu się muszę z tobą zgodzić, ale chcę już, żeby to się skończyło. Posłuchaj, zadzwoniłam przede wszystkim po to, żeby zapytać, jak długo Mike Stillwell zostanie na pogrzebie siostry?

- Nie wiem. W przypadku śmierci kogoś z najbliższej rodziny urlop jest nieokreślony.

Chociaż Bill nie mógł jej widzieć, z przyzwyczajenia kiwnęła głową.

- Tak myślałam. Wiesz może, gdzie odbywa się ten pogrzeb?

- Wiem, w jakim mieście, bo wysyłałem kwiaty w imieniu pracowników rancza. - Usłyszała w słuchawce szelest przewracanych papierów. - Mam. - Odczytał nazwę miasta i podał jej nazwę biura, które dostarczyło kwiaty.

- Dzięki, Bill. A tak przy okazji, nie miałabym nic przeciwko temu, gdybyś nie wspomniał o tym szeryfowi.

- Poradzę sobie z nim. Nic się nie martw.

- Dziękuję.

Dobra rada. Szkoda, że nie może jej posłuchać. Następnie wykręciła numer biura, które wysyłało kwiaty i dowiedziała się, jaki jest adres domu pogrzebowego. Kiedy odłożyła słuchawkę, spojrzała na Desa.

- Myślę, że nic się nie stanie, jeśli dotrę do Mike'a przed szeryfem.

- Zgadzam się. Chodźmy. Już miała mu powiedzieć, że sama da sobie radę, ale się powstrzymała. Była w nim za

bardzo zakochana, żeby zrezygnować choćby z kilku wspólnych godzin.

- Zadzwońię po helikopter.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kit rzuciła się na łóżko tak jak stała, nie zdejmując ani zielonego kaszmirowego swetra, ani zamszowej spódnicy, które włożyła na podróż.

To był długi dzień. Wpatrując się w sufit, zastanawiała się, dlaczego nie jest wcale zmęczona. Odwrotnie - czuła się rześka i ożywiona jak nigdy. A wszystkiemu winien był - o ile w takiej sytuacji można w ogóle mówić o winie - Des, który znajdował się w sąsiednim pokoju.

Natychmiast po wylądowaniu w Oklahomie pojechali wynajętym samochodem do domu pogrzebowego. Mieli pecha. Było już po ceremonii. Przedsiębiorca pogrzebowy wypytywany przez Desa o najbliższych krewnych, odmówił odpowiedzi.

- Zbyt wielu oszustów żeruje w dzisiejszych czasach na pogrążonych w żałobie krewnych - oznajmił.

Desowi i Kit nie pozostało nic innego, jak tylko zatrzymać się w mieście na noc. Hotel znacznie odbiegał standardem od pięciogwiazdkowych, do których oboje przywykli, ale pokoje były czyste i wygodne.

Kit usłyszała szcęk zamka w drzwiach obok. Po chwili rozległo się pukanie.

Des.

Meldując się nawet nie wspomnieli o sąsiadujących pokojach, ale recepcjonistka dała im je nie proszona.

- Może pójdziesz ze mną na kolację? - zaproponował, kiedy mu otworzyła. - Na dole widziałem mały barek. Może dają tam coś do jedzenia?

Kit obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Miał na sobie lekką niebieską koszulę, rozpiętą pod szyją. Podwinięte rękawy odsłaniały mocne przedramiona.

- Nie, dziękuję. Nie jestem głodna. Idź sam, jeśli masz ochotę.

Wróciła na łóżko, a kiedy znów popatrzyła na drzwi, Desa już tam nie było.

Po szalonej wspólnej nocy, stwierdziła ponuro, stosunki między nimi można było nazwać „nienagannie poprawnymi”. Mogła się tylko domyślać, jak bardzo Des jej nie lubi od chwili, kiedy oznajmiła, że ta noc nic dla niej nie znaczy. Sama też się za to nie lubiła. Mogła wyrazić to delikatniej. Przecież miała jak najlepsze, intencje! Chciała tylko ochronić ich oboje. Ale chyba zbyt się pośpieszyła, pomyślała z nagłym bólem w sercu.

Tymczasem Des znowu stanął w drzwiach - z książką telefoniczną pod pachą.

- Znalazłem tutaj całkiem sporo Stillwellów. Podzielmy się nazwiskami i obdzwońmy wszystkich. Kto wie? A nuż trafimy na rodzinę Mike'a? Zacznę od początku, a ty jedź od końca.

- Dobry pomysł - otworzyła szufladę szafki nocnej i wyjęła spis telefonów.

Rozmowy zabrały jej sporo czasu. Niektórzy ludzie okazali się skorzy do pogawędki i z wielką przyjemnością dzielili się z nią wiedzą o własnych rodzinach. Jednakże nikt nie słyszał o Mike'u ani Angie Stillwellach.

- I co? - Des wszedł do pokoju i usiadł na łóżku obok niej.  
- Bo ja nie miałem szczęścia.

- Ja też nie.

- Przyszło mi jednak do głowy coś innego. Od wszystkich potencjalnych pracowników wymagamy referencji. Może Mike powołał się na swoją siostrę? Jeśli tak, w papierach musi być jej adres i telefon. Zresztą, nieważne, kogo podał. Osoba, która za niego ręczy, prawdopodobnie wie, gdzie go szukać. Sam nie wiem, dlaczego nie przyszło mi to wcześniej na myśl!

- Już ci mówiłam. Masz za wiele na głowie. Niestety, jest już za późno, żeby zadzwonić na ranczo. Biuro zamykają o

szóstej. Gdybym była teraz w domu, złapałabym któregoś z pracowników, a tak - nic z tego.

- Trudno. I tak zostajemy tu na noc. Zadzwoń rano. Kit gorączkowo myślała, co powiedzieć, żeby podtrzymać rozmowę. Chciałaby go przeprosić za tyle rzeczy... Nie miała szans - kiedy tylko zaczynała mówić o tym, co stało się w chacie, Des przerywał jej natychmiast. Nagle wpadła na genialny pomysł.

- Opowiadałeś kiedyś, jak pamiętasz mnie z czasów, kiedy byłam małą dziewczynką - zaczęła. - Czy chcesz wiedzieć, jak ja zapamiętałam ciebie?

Miał taką zdziwioną minę, że omal nie parsknęła głośnym śmiechem.

- Musiałeś mieć wtedy szesnaście lat. Na ranczu był dziki koń, który nie dopuszczał do siebie nikogo. Spędzałeś całe godziny w jego zagrodzie. Rozmawiałeś z nim i próbowałeś go oswoić. To było niesamowite.

- Robiłem tylko to, co podpatrzyłem u starszych chłopaków.

- Być może, ale im nie udało się oswoić tego konia. A ty po kilku dniach go dosiadłeś. Siedziałam pod dachem jednej ze stodół i obserwowałam cię przez cały czas.

- Nie miałem o tym pojęcia - uśmiechnął się. - Dzisiaj myślę, że musiałem być ślepy. Jak mogłem cię wtedy nie zauważyć?

Z trudem oderwała wzrok od jego ust.

- Dlaczego miałbyś mnie zauważyć? Miałam wtedy jedenaście lat. Pięć lat różnicy to w tym wieku przepaść. Poza tym - były inne dziewczyny.

- Dziewczyny? - zdziwił się. - Jakie dziewczyny? Tym razem nie wytrzymała i roześmiała się w głos.

- Nie udawaj niewiniątka. Donna, Melissa i Jennifer, że nie wspomnę o innych. Naprawdę ich nie pamiętasz?

- Nie przypomniałbym sobie o nich, gdybyś o nich nie powiedziała.

Zmarszczył czoło, usiłując przypomnieć sobie coś więcej. Robił tak zawsze, kiedy nad czymś myślał. A kiedy się uśmiechał, wokół jego oczu pojawiały się małe kreski. Patrzyła na to z zachwytem. Kit zdała sobie sprawę, że od jakiegoś czasu zachwyca ją wszystko, co dotyczy Desa.

- Najlepiej pamiętam Donnę - powiedziała. - Przez nią pierwszy raz w życiu poczułam zazdrość.

- Ty i zazdrość? To niepodobne do ciebie. Zawsze jesteś taka opanowana.

- A jednak. Byłeś z nią na pieczeniu barana. Wydawała mi się wspaniała i taka... wyrafinowana.

- Donna? - zaśmiał się. - Niemożliwe, kochanie. Ona też miała wtedy szesnaście lat.

„Kochanie”. Powiedział do niej: kochanie. Kit poczuła fale ciepła w sercu. Jesteś beznadziejna, pomyślała. Taka reakcja na słowo rzucone mimochodem?

- Uwierz mi, że w porównaniu ze mną taka była. Co więcej, miała z tobą randkę. Prawdziwą randkę! I traktowała to najnaturalniej w świecie. Była taka swobodna. Mnie nie mogło się przydarzyć nic podobnego.

Des przejechał dłonią po jej włosach.

- Ale ty też czujesz się ze mną swobodnie, prawda? Nie przewidziała niczego podobnego. Musiała odczekać, aż odzyska utracone poczucie równowagi. A ponieważ równowaga nie wróciła, wymamrotała z wysiłkiem:

- Nie wtedy, kiedy zachowujesz się w ten sposób.

- W jaki sposób? Masz na myśli to, że cię dotykam? Przecież spędziliśmy razem noc, pamiętasz?

Jak mogło mu przyjść do głowy, że o tym zapomni?

- Oczywiście, że pamiętam, ale to wcale nie znaczy, że oswoiłam się z twoją ręką.

- Naprawdę? - Nie przestawał bawić się jej włosami. - Dlaczego? Może to wszystko trwało zbyt krótko?

- Nie, ale... Dotknął palcami pulsującej żyłki u nasady jej szyi.

- Pamiętam, że całowałem to miejsce. - Pochylił się i musnął je ustami. - I to też. - Pocałował ją z drugiej strony.

Kit przymknęła oczy, rozkoszując się falą ciepła, która ogarniała powoli całe jej ciało.

- Des, to nie fair - mruknęła.

- Wcale nie mówię, że to jest fair. Przejechał ustami po jej szyi i odnalazł wrażliwy punkt za uchem.

- Tutaj też cię całowałem, pamiętam doskonale. To też pamiętam - dodał zduszonym głosem, kładąc dłoń na jej piersi.

Jęknęła, kiedy zaczął delikatnie ją pieścić. Poczwała, że cała drży.

- Des...

Tylko tyle zdołała wyjąkać. Chciała powiedzieć „przestań”, ale to słowo uwięzło jej w gardle. Wiedziała, że nie powinna się zgadzać na żadne intymne gesty, ale jednocześnie nie umiała zaprotestować. To, co robił Des, wprawiało ją w euforię.

- Pamiętam też, że rozpiąłem ci stanik, żeby zrobić to...

W tej samej sekundzie stanik wylądował na podłodze. Poczwała jego dłoń na sutkach. Zataczał na jej skórze drobne kółka, dopóki nie odepchnęła go od siebie.

- Co robisz? - jęknęła, z trudem łapiąc powietrze. Całym ciężarem położył się na niej.

- Powiedzmy, że to ciąg dalszy tamtej nocy, która nic dla ciebie nie znaczyła - mruknął.

Był obrażony za to, co mu powiedziała! Był na nią zły, ale wciąż jej pragnął.

- Ach, Des! - szepnęła. Chociaż wydawało się to niemożliwe, pragnęła go mocniej niż tamtej nocy. Należała do niego. Nawet gdyby on tego nie chciał. Nawet gdyby ona tego nie chciała. Chciała być jego - wszystko jedno gdzie: w stodole pełnej pachnącego siana, w drewnianej chacie albo w podrzędnym hotelu w Oklahomie. Zawsze i na zawsze.

Zniknęły wszelkie zahamowania. W jednej chwili pozbyli się reszty ubrań. Kit z trudem zapanowała nad sobą, kiedy poczuła dłoń Desa między udami. Bezbłędnie trafił w jej najczulsze miejsce i pieścił, aż zobaczyła przed oczami błyski białego światła. Rzeczywistość przestała istnieć. Ekstazyjne doznania musiały pochodzić z innego świata. Ogarnęła ją fala pożądania, nad którą nie mogła zapanować. Czas przestał istnieć.

Później, kiedy wyczerpana leżała przy nim, przez głowę przemknęła jej niespodziewana myśl. Nie zadbali o to, żeby się zabezpieczyć. Ani teraz, ani poprzedniej nocy. Mogła zająć w ciążę. I oby tak się stało!

Des okrył kocem śpiącą Kit i przytulił ją do siebie. Niedługo wstanie nowy dzień i znowu będą musieli zająć się poszukiwaniami prawdziwego mordercy Cody'ego Inmana. Ale na razie wolno mu o tym nie myśleć. Jeszcze przez chwilę może zająć się tą niezwykłą kobietą, którą trzymał w ramionach.

Nie bardzo umiał sobie z nią poradzić.

Z największą przyjemnością pomagał jej, chciał ją chronić i - pomimo ponurych okoliczności spowodowanych morderstwem - cieszył się każdą chwilą, którą spędzali razem. Co więcej - cieszył się, że zna ją coraz lepiej, i pragnął wiedzieć o niej jeszcze więcej.

Lubił obserwować, jak myśli. Często oddawał się tak intensywnym obserwacjom, że sam przestawał myśleć.

Uwielbiał, kiedy w jego ramionach traciła panowanie nad sobą i to, że on także je tracił.

Otarła się o niego we śnie, a on uśmiechnął się z zadowoleniem. Uwielbiał wszystko, co jej dotyczyło. Nawet jej upór i poczucie niezależności. Żeby tylko nie budowała emocjonalnych barier między nimi! Czuł bardzo wyraźnie, że w ten sposób Kit broni się przed zbyt wielkim zbliżeniem.

Rzecz w tym, że on chciał ją mieć blisko siebie. Najbliżej jak można. I na tym polegał kłopot.

Po prostu ją kochał.

Kochał ją!

Jego kłopot wydał mu się teraz nie do przewyciężenia. W jaki sposób utrzymać ją przy sobie przez resztę życia? Na razie nie miał na to pomysłu, ale wierzył, że uda mu się coś wymyślić. Nigdy jeszcze nie był zakochany i nigdy nie czuł tak dojmującej potrzeby, żeby jakaś kobieta weszła w jego życie. Kit sprawiła, że utracił łatwość rozwiązywania problemów.

- Która godzina? - Kit przeciągnęła się z zadowoleniem i przywarła do niego.

Des przez chwilę próbował znaleźć zegarek na szafce nocnej. Zrezygnował, kiedy zdał sobie sprawę, że to nie jego pokój i nie jego szafka.

- Poranek - odpowiedział. Kit zaśmiała się, a on pocałował ją w odpowiedzi.

- A to dlaczego? - zapytała zdumiona.

- Nagroda za twój śmiech. Nigdy nie mam go dość.

- Ależ łatwo cię zadowolić! Czy Donna o tym wiedziała? Skrzywił się, udając, że zraniła go do głębi.

- Czy możesz nie psuć tej chwili wspomnieniami o Donnie? Jestem w łóżku z tobą, nie z nią.

- To mi nie wystarczy - droczyła się z nim. - Poczuję się usatysfakcjonowana tylko wtedy, kiedy ona się o tym dowie. Chcę, żeby była zazdrosna.

- Może czuć zazdrość, nawet o tym nie wiedząc. Żadna dziewczyna, z którą się umawiałem, nie osiągnęła ani połowy tego, co ty.

- Mówisz o kierowaniu ranczem?

- B&B nie jest jakimś tam ranczem, Kit. Od kiedy je prowadzisz, jest jednym z najlepszych gospodarstw na świecie.

Nic nie odpowiedziała. Des widział, że nad czymś się zastanawia, i czekał, co powie. Nigdy wcześniej nie obchodziło go, co kobiety mają do powiedzenia. Teraz było inaczej. Kit wygrała bitwę.

- Słyszałam, że Donna jest prawnikiem.

- To prawda.

- I dalej utrzymujesz, że nie osiągnęła tyle, co ja?

- Oczywiście.

- Słyszałam też, że ma męża i dwójkę udanych dzieci. Może ty tak nie uważasz, ale to także jest wielkie osiągnięcie.

- Tu się z tobą zgadzam.

- Hej! - Spojrzała na niego z udanym gniewem, ale w jej oczach błyszczał śmiech. - Przecież masz się ze mną nie zgadzać.

- Przepraszam. Poprawię się następnym razem.

- Dobrze. Zrobimy test. Chwileczkę... Już wiem! Czy kiedy miałeś szesnaście lat, naprawdę nie bardzo lubiłeś Donnę?

Des odrzucił głowę w tył i parsknął śmiechem. Uwielbiał, kiedy Kit była w dobrym humorze. Nie starała się wtedy trzymać go na dystans.

- Miałem szesnaście lat, Kit. W tym wieku człowiek czuje tylko szalejące hormony. Oczywiście, że ją lubiłem.



- Oblałeś test i to sromotnie.
  - Kit! Powtórzę ci, że to z tobą, nie z nią jestem teraz w łóżku. Poza tym chodziłem z nią zaledwie kilka miesięcy.
  - Ile?
  - Nie mam pojęcia. To było dawno temu. Nie widzę powodu, żeby pamiętać takie głupstwa.
  - No dobrze - kiwnęła głową Kit. - A inne?
  - Jestem głodny. Chodźmy gdzieś na śniadanie.
  - Zmieniasz temat.
  - Zawsze zmieniam temat, kiedy nie mam szansy być górą. - Pogłaskał jej usta, a ona pocałowała opuszki jego palców.
  - Jesteś tchórzem, Desie Baronie!
  - Nieprawda. Jestem po prostu sprytnym człowiekiem.
  - To była Melissa, prawda? Opowiedz mi o niej. Słyszałam, że jest pediatrą.
  - Wydaje mi się, że bardzo wiele słyszałaś. Ale, ale... - Des postanowił, że nadszedł czas, żeby zamienić się rolami. - Czy chciałabyś mieć dzieci?
- Kit niespodziewanie odsunęła się od niego.
- Chyba poczułam głód - odpowiedziała z nieprzeniknioną miną. - Wezmę tylko szybki prysznic i możemy iść.
  - Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.
  - Musisz się z tym pogodzić.
  - Kit! - Oparł się na łokciu. - Przepraszam, że nie byłem zabezpieczony. Nie miałem pojęcia, że między nami do czegoś dojdzie.
- Uciekła wzrokiem na bok.
- Kit! Czy chcesz mieć dzieci?
  - Niczego na świecie bardziej nie pragnę - rzuciła i zanim zdążył zareagować, pobiegła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

Znowu mu się wymknęła. Tym razem jednak wcale go to nie zmartwiło. Uzyskał odpowiedź na swoje pytanie. Kit chciała mieć dzieci. On też. Chyba potrzebował takiej odpowiedzi.

Kit siedziała w wannie i zastanawiała się, co w nią wstąpiło. Żartobliwe przepychanki z Desem były naprawdę miłe. Ale jeszcze miłszy był fakt, że znowu się kochali.

Des chyba zapomniał, że był na nią zły. Chyba nawet mógł czuć teraz, że w pewien przedziwny sposób wyrównali rachunki. Miłość z nim doprowadziła ją na krawędź szaleństwa. Pamiętała nawet, że w ciemnościach nocy błagała go o to, by zaspokoił jej pożądanie.

I zrobił to. Nigdy w życiu nie doświadczyła takiej ekstazy. Nie przypuszczała, że to w ogóle możliwe.

Będzie miała jeszcze jedno wspomnienie. Zostanie z nią, gdy Des zdecyduje się pójść swoją drogą. Chociaż z drugiej strony zdawała sobie teraz sprawę, że te wspomnienia nie przyniosą jej ukojenia. Zawsze będzie tęskniła za prawdziwą bliskością Desa.

Sytuację jeszcze bardziej utrudniał fakt, że prawdopodobnie będzie go od czasu do czasu widywała na ranczu. Jak miała zachować bez troskę i swobodę, gdy jej serce i ciało wyrywało się do niego?

Zagubiona w myślach dopiero po dłuższym czasie zdała sobie sprawę z tego, że traci czas, zastanawiając się nad ponurą przyszłością, podczas gdy czekała na nią teraźniejszość.

Kiedy owinięta ręcznikiem wróciła do pokoju, Desa już nie było. No i co z tego? pomyślała desperacko. Dzisiaj musieli znaleźć Mike'a. Im szybciej przystąpią do poszukiwań, tym lepiej.

Podniosła słuchawkę i wykręciła numer biura B&B. Na szczęście Mike podał w papierach siostrę jako najbliższą krewną. Był tam też jej adres.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kit i Des zamówili śniadanie w restauracji, po czym poszli zadzwonić do mieszkania siostry Mike'a, żeby się upewnić, czy jest na miejscu. Był.

- Mike?

- Tak? - W głosie brzmiało zmęczenie.

- Tu Kit Baron. Muszę z tobą porozmawiać.

- Panna Baron?

- Zgadza się. Przepraszam, że cię fatyguję w takiej chwili, ale jestem w mieście i chciałabym przyjść z tobą porozmawiać. Oczywiście, jeśli mogę.

Mike milczał przez kilka sekund. Mogła sobie wyobrazić, jaki był zaskoczony.

- O czym?

- Wolałabym nie mówić o tym przez telefon.

- Nie rozumiem, o co chodzi.

- Powiemy ci, jak tylko się spotkamy.

- My?

- Jest ze mną Des Baron. Zapadła głucha cisza.

- Jeśli przyjechali państwo tutaj, żeby mnie wylać, to niepotrzebnie. Rezygnuję z pracy.

- Przykro mi to słyszeć, ale, słuchaj, nie martw się teraz pracą. To nie jest odpowiedni moment na podejmowanie ważnych decyzji. Nic ci z naszej strony nie grozi. Nie mam zamiaru cię wyrzucać z pracy.

- To o co chodzi?

- Chcielibyśmy z tobą o czymś porozmawiać.

- No, dobrze. Potrzebujecie wskazówek, żeby tu dojechać?

- Kupimy mapę. Będziemy za jakąś godzinę.

- Niech będzie. To do zobaczenia. Kit odłożyła słuchawkę i spojrzała zatroskana na Desa.

- Mam nadzieję, że on nam pomoże, bo jeśli nie... Des wyciągnął rękę i musnął opuszkami palców jej policzek w wyjątkowo delikatny sposób.

- Jeśli on nam nie pomoże, znajdziemy jakiś inny sposób. Teraz liczy się tylko to, że coś robimy, a nie siedzimy z założonymi rękami, czekając, aż ten pajac szeryf zdecyduje się cię aresztować. Więc nie martw się na zapas.

Martwiła się. Miała wielką nadzieję, że od Mike'a otrzymają brakujące informacje i wszystko ułoży się w całość. Bardziej martwiło ją jednak wyzwanie, jakie stanowiło życie obok Desa i przyglądanie się, jak on się nią coraz bardziej nudzi.

Mieszkanie Angie Stillwell było małe. Składało się z kuchni oddzielonej barem od małego salonu. Przez drzwi widać było sypialnię i łazienkę. Cała podłoga zastawiona była pustymi kartonami. Na honorowym miejscu na bocznym stoliku stała fotografia - Mike'a otaczającego ramieniem śliczną nastolatkę. Dziewczyna - Angie, jak zgadła Kit - patrzyła w niego z uwielbieniem.

- Dziękujemy za to, że się zgodziłeś na spotkanie, Mike - powiedziała Kit na dzień dobry. - Po pierwsze, chciałam ci powiedzieć, że bardzo nam przykro z powodu śmierci twojej siostry. Najszersze kondolencje.

- Dziękuję.

Jego głos był pozbawiony wszelkich emocji. Nagle, jakby zabrakło mu energii, opadł na krzesło naprzeciwko Kit i Desa.

Des kiwnął zachęcająco do Kit.

- Mike, mamy złe wieści. Tego ranka, kiedy wyjechałeś z B&B, zabito Cody'ego Inmana.

Mike patrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem. Następnie na jego twarzy odmalował się wyraz bezbrzeżnego smutku.

- Przykro mi, że to ja jestem heroldem złych wieści. Czy byliście zaprzyjaźnieni?

- Nie.

- Mimo to pewnie to szok dla ciebie. Tak jak dla nas wszystkich. - Przerwała na chwilę. - Mike, tak naprawdę przyjechaliśmy, bo powiedziano nam, że grałeś z Codym w pokera wieczorem przed morderstwem. Zastanawialiśmy się, czy podczas gry zdarzyło się albo zostało powiedziane coś, co mogłoby nam pomóc znaleźć osobę, która życzyła mu śmierci.

Spojrzał na fotografię na bocznym stoliku, na którą wcześniej zwróciła uwagę Kit.

- Nie wiem, jak inni, ale... ja mu życzyłem śmierci.

- Słucham? Kit spojrzała na Desa.

- Życzyłem mu śmierci, chociaż kiedy opuszczałem rano ranczo, nie wiedziałem, że nie żyje.

Des uniósł brwi.

- Obawiam się, że nie rozumiem, o czym mówisz, Mike. Mike wypuścił ze świsem powietrze z płuc i utkwiał wzrok w swoich dłoniach. Odciski świadczyły o ciężkiej pracy fizycznej.

- Na chwilę przed wyjazdem z rancza na pogrzeb siostry spotkałem Cody'ego w stajni. Pokłóciliśmy się. Po czym złapałem za łopatę i walnąłem go w tył głowy.

- Ale czemu? - zapytała z niedowierzaniem Kit. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Mike się przyznał.

- Jakiś czas temu Cody przyjechał tu razem ze mną z wizytą. Był bardzo przyjacielski w stosunku do Angie, ale nie zauważyłem wtedy nic niezwykłego. Cieszyłem się, że tak dobrze się dogadali. Później się dowiedziałem, że był tu u niej kilka razy.

- Głos mu się załamał. - To moja wina. Powinienem bardziej uważać. Widzicie, Angie nie była specjalnie bystra. Gdy jakiś mężczyzna zwracał na nią uwagę, rzucała mu się w

ramiona. Wiedziałem o tym. - Potarł oczy dłońmi, po czym wolno pokręcił głową. - Nie mogę uwierzyć, że nie powiedziała mi o jego wizytach. Zawsze mi wszystko mówiła. Pewnie czuła, że próbowałbym to przerwać.

- Dlaczego miałbyś to zrobić? Spojrzał na nią.

- Cody to był gość, z którym można się było zabawić. Ale nie ktoś, z kim chętnie widziałoby się własną siostrę.

- Czyli Cody umawiał się z twoją siostrą na randki?

- Mówię tylko, że ona zaszła w ciążę. On jej wtedy powiedział, że nie wierzy, że jest ojcem, i zostawił ją. - Po policzku spłynęła mu łza. - Drań. To była dobra dziewczyna. Ufna. Wierzyła, że każdy człowiek jest dobry. A kiedy ją tak rzucił...

- Kolejna łza popłynęła śladem poprzedniej. - Wtedy chyba za bardzo się wstydziła, żeby mi o wszystkim opowiedzieć. Zadzwoiła do mnie jej koleżanka z pracy.

- Kiedy to było? - zapytał Des.

- Tego wieczora, kiedy graliśmy w pokera. Więc kiedy przyszedł Cody, byłem wściekły jak wszyscy diabli. Tylko nie chciałem nic mówić przy innych chłopakach. - Rozłożył ręce.

- Próbowałem ją chronić, tak jak zawsze, przez całe życie.

Załkał, a potem siłą woli zmusił się do spokoju. Otarł twarz dłonią.

- Nieważne. Czekałem, aż skończy się poker. Powiedziałem mu wtedy, żeby zachował się w stosunku do Angie jak należy. Ten łajdak tylko się zaśmiał i poszedł się jeszcze napić. - Łzy znowu popłynęły. - Prawie nie spałem tej nocy. Następnego ranka postanowiłem, że rzucę pracę na B&B, przeniosę się tutaj i spróbuję pomóc Angie. A kolejna rzecz to był telefon z policji z wiadomością, że ona popełniła samobójstwo.

- Wtedy poszedłeś szukać Cody'ego?

- Zgadza się. - Mike otarł łzy i spojrzał na Kit. - Stałem przed stajnią, kiedy się kłóciliście.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Ale kiedy wyszłam, koło stajni był Tio.

- Ja byłem przy tylnym wejściu. Poczekalem, aż pani wyszła, po czym wszedłem do środka i stanąłem przed nim. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Nawet nie wiem, kiedy złapałem za łopatę i uderzyłem go w głowę.

- Czy to było śmiertelne uderzenie? - zapytał Des.

- To było jedyne uderzenie. Upadł. Mnie jednak nie przyszło do głowy, że mogłem go zabić. Nie wiem, czemu. Po prostu o tym nie pomyślałem. Może byłem zbyt zajęty myślami o tym, co czeka mnie po przyjeździe tutaj. - Wzruszył ramionami.

- Ale podświadomie chyba wiedziałem. Tylko nie chciałem poświęcać temu za dużo uwagi, wiecie?

Kit kiwnęła głową.

- Wiem.

- To wszystko. Cała historia.

- Jeszcze jedno. Co zrobiłeś z łopatą? Nie znaleziono jej.

- Nie wiem. Myślę, że gdzieś ją rzuciłem, nim wyszedłem ze stajni.

- Gdzie? Znowu wzruszył ramionami.

- Nie zwróciłem na to uwagi. Des odchrząknął.

- Mike, czy powiesz szeryfowi wszystko to, co nam powiedziałeś?

Mike pokiwał ponuro głową.

Kit ledwie opanowała ochotę wzięcia Mike'a w ramiona i uspokojenia go. Dziwne, ale nie czuła do niego nic poza współczuciem.

- Czy pojedziesz teraz z nami na ranczo? Z wyraźnym wysiłkiem wyrwał się z letargu, w jaki zapadł.



- Najpierw chciałbym skończyć pakowanie rzeczy Angie. Nie ma tego wiele. Nie mam pojęcia, co zrobić z niektórymi rzeczami. Ubrania chyba oddam.

- Pomogę ci - powiedziała odruchowo Kit. - Wybierzesz to, co chciałbyś zatrzymać, a ja spakuję i schowam. Potem zajmę się resztą rzeczy. Oddam je organizacji charytatywnej.

- Dobrze. - Ścisnął dłonie między kolanami i spuścił głowę. - Panno Baron, przepraszam za kłopoty, jakie pani przeze mnie miała. Nie chciałem.

- Wiem, Mike. Wiem.

Gdzie on dzisiaj jest?

Kit leżała otulona w kaszmirowy peniuar na swojej sofie w salonie. W rogu paliła się mała lampa. Ogień trzaskał w kominku.

Powinna być zadowolona. Skończyło się polowanie na prawdziwego zabójcę. Mike'a aresztowano. Des był prawie pewien, że z jego pomocą i gdy sąd usłyszy całą historię, wyrok nie będzie surowy. A ona czuła jedynie dotkliwą pustkę. Nigdy nie miała tak naprawdę Desa, a czuła się tak, jakby go straciła.

Zawsze walczyła o swoją niezależność i była z niej dumna. Nawet podczas tych dwóch nocy spędzonych z Desem nie brała pod uwagę możliwości rezygnacji ze swojej samodzielności.

Ale przyzwyczała się do jego ramion, do jego towarzystwa, do jego nastrojów - dobrych i złych. Przywykła do Desa. A teraz, na samą myśl o tym musiała przyznać, że przyzwyczajenie to zdecydowanie za słabe słowo. Uzależnienie lepiej oddawało stan jej uczuć.

- Cześć. Podskoczyła na dźwięk tego głębokiego, miękkiego głosu.

Rozejrzała się dookoła.

- Des.

- Przepraszam - powiedział podchodząc do niej wolno. - Nie chciałem cię przestraszyć.

- Nie przestraszyłeś. Ja tylko... myślałam o czymś odległym. Co tu robisz?

Usiadł koło niej na sofie. Rozdzielała ich poduszka.

- Przyszedłem zobaczyć, jak się masz.

- Och, doskonale, po prostu świetnie. Już zadzwoniłam do Tess i Jill. Bardzo się ucieszyły.

- Dobrze. - Przechylił głowę. - Musisz być zmęczona. To były wyczerpujące dni.

- Chyba tak.

- Brzmi to tak, jakbyś nie była pewna.

- Nie, nie, masz rację. To było wyczerpujące.

- Pewnie się cieszysz, że już po wszystkim. Skrzyżowała ramiona na piersi.

- To było jak wielki ciężar na ramionach. Świadomość, że choćby jedna osoba uważa mnie za zabójcę.

- Nikt, kto cię naprawdę zna, nie mógł w to wierzyć. Skrzywiła wargi.

- Szeryf oczywiście nie zalicza się do tej grupy.

- Oczywiście.' Wiesz, kiedy słuchałem opowieści Mike'a, nauczyłem się jednego. Nigdy nie wiadomo, do czego człowiek jest zdolny. Zwłaszcza gdy powód jest wystarczająco ważny.

- Zgadza się.

- Nie przypuszczam, żeby szeryf cię przeprosił? Zachichotała.

- Jakoś przeżyję brak przeprosin.

- Mogę go do tego zmusić, jeśli chcesz. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że potrafiłby to zrobić.

- Ten facet to gnida. Szkoda sobie nim zawracać głowę.

- To właściwe podejście do rzeczy. Zastanowiła ją jego mina.

- Zamierzasz coś zrobić w związku z nim, prawda? Des skinął głową.

- Powiedzmy, że zamierzam coś zrobić. Tak się składa, że stanowy prokurator generalny to mój znajomy. Chcę z nim porozmawiać. Wcześniej się z nim nie kontaktowałem tylko dlatego, że nie chciałem dać komuś powodów do gadania, że wydostałaś się z kłopotów, korzystając z protekcji. Teraz już mogę się z nim spotkać.

- Des, nie wychylaj się przeze mnie. Jego spojrzenie złagodniało, kiedy spoczęło na niej.

- Nie widzę lepszego powodu.

- Nie. Nie chcę, żebyś ryzykował.

- Tu nie ma mowy o żadnym ryzyku. Ani o wychylaniu się. Sama powiedziałaś: Ten facet to gnida. Poza tym to kiepski szeryf. Nie sprawdzał nikogo innego, gdy zobaczył w tobie potencjalnego mordercę. Nie powinien zajmować pozycji, która pozwala mu na zniszczenie czyjegoś życia tylko dlatego, że widzi w tym jakieś korzyści dla siebie.

- Nie mogę się z tobą nie zgodzić, gdy tak stawiasz sprawę. Nie chciałabym, by ktoś niewinny przez niego ucierpiał.

- A co z Adą de la Garzą? Pomyślałem, że ją zostawię tobie. Uśmiechnęła się.

- O niej nie zapomniałam. Uznałam, że na nią warto zmarnować parę chwil.

- Nie mogę się doczekać, żeby to usłyszeć. Co wymyśliłaś? Czy potrzebujesz wsparcia?

Zachichotała.

- Nie, nie chcę pomocy, dziękuję. Zamierzam zadzwonić do redaktora naczelnego jej pisma i upewnić się, że prawdziwa historia Cody'ego, Mike'a i Angie zostanie napisana... przez innego dziennikarza. Sama prośba o coś takiego powinna zablokować wszystko, na co mogła liczyć.

- Gdybyś ty tego nie zrobiła, sam bym tam zadzwonił.

- To nie koniec. Kiedy opowiem redaktorowi naczelnemu o jej zachowaniu, może nawet zostać wyrzucona z pracy. Przyrzekłam sobie, że od tej pory będę śledzić jej karierę. Wiem, że ten typ dziennikarstwa najlepiej się dziś sprzedaje. Ale nie w szanowanych gazetach. Uśmiechnął się.

- Super.

Jego usta... Pamiętała je w każdym, najdrobniejszym szczególe. Pamiętała, jak te usta ją całowały.

- A co z tobą? Ty też musisz czuć ulgę. Skoro nie masz już przed sobą procesu, możesz cieszyć się... wolnym czasem. Czy nie tak mówiłeś?

- I mówiłem też, że chcę być w domu.

- W domu - powtórzyła.

- Cieszę się, że o tym wspomniałaś.

- Zmieniłeś zdanie? Nie chciała tego. Nagle zdała sobie z tego sprawę. Wcześniej nie była pewna, co byłoby dla niej mniej bolesne. Wciąż tego nie wiedziała, ale uświadomiła sobie jedno. Chciała go mieć przy sobie.

- Nie, ale w ciągu ostatnich kilku dni odkryłem coś bardzo ważnego. Czy też raczej, odkryłem kogoś.

- K - kogoś? O czym ty mówisz? Poczula ukłucie strachu.

- Ciebie, Kit. Odkryłem ciebie. Wbiła w niego wzrok. Była zupełnie pewna, że wyobraźnia płata jej figle. To niemożliwe, żeby słyszała to naprawdę. A jeśli, to źle zrozumiała jego słowa.

- Co? Z niezwykłą delikatnością wziął ją za rękę.

- Wyjdź za mnie, Kit. Wiem, że mówię to nie tak, jak powinienem, ale powód jest prosty: robię to pierwszy raz.

Poczula, że cała krew odpływa jej z twarzy.

- Co robisz?

- Proszę cię o rękę.

- Nie. Powiedziała to, zanim zdążyła się zastanowić. Lecz kiedy odpowiedź już padła, wiedziała, że była właściwa.

W pokoju zapanowała przeraźliwa cisza. To było straszne, musiała to przerwać.

- Nie mogę za ciebie wyjść, Des. Proszę cię, zrozum.

- Przykro mi, ale nie rozumiem. Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że przystaniesz na to z ochotą. Pamiętam, że kiedyś sama mi się pchałaś w ramiona.

- Nigdy tego nie robiłam. Teraz znalazła się w defensywie. Nie lubiła być w takiej pozycji. Jak mogła zapomnieć o jego reputacji prawniczej gwiazdy, która potrafi rozedrzeć przeciwników na strzępy?

- Ależ owszem.

- Mówisz o czasach, gdy moje siostry i ja chciałyśmy cię zdobyć ze względu na testament naszego ojca. To zupełnie inna sytuacja.

- Nie do końca. Testament wciąż jest w mocy.

- Ale okoliczności się zmieniły. Tess i Jill są szczęśliwymi mężatkami. Nauczyły się, że są w życiu ważniejsze rzeczy niż kontrola nad firmą.

- Zgadza się. Są szczęśliwe i nauczyły się tego. Ale nie oszukuj się. Gdyby jakoś mogły zyskać kontrolę nad firmą, nie zastanawiałyby się nad tym ani przez chwilę.

Miał rację, pomyślała posepnie. Lecz jej było teraz obojętne, kto miał w rękach pakiet kontrolny. Chociaż on by jej nie uwierzył. I nie rozumiał.

- Ale gdybyśmy się pobrali - powiedział z naciskiem - ty pobiłabyś siostry.

- Zachowałbyś prawo głosu. Bez względu na to, co mówili inni, Des zawsze robił, co uważał za najlepsze. Nie miała wątpliwości, że uznałby za najlepsze utrzymanie kontroli nad pięćdziesięcioprocentowym pakietem udziałów.

Poza tym, kto nie chciałby kontrolować jednej z najbogatszych firm na świecie?

- Opinia mojej żony byłaby dla mnie ważna. Radziłbym się jej w każdej sprawie.

Jego żony. Nie mogła znieść myśli o tym. Zazdrość prawie podcięła jej nogi. Sama myśl o tym, że jakaś inna kobieta będzie co noc leżała w jego ramionach, a co rano jadła z nim śniadanie, przyprawiała ją o mdłości.

- Nie wątpię - powiedziała tak obojętnym głosem, na jaki była w stanie się zdobyć.

Cóż za ironia! Dawał jej na srebrnej tacy wszystko, o czym kiedykolwiek marzyła, a ona mu odmawiała, bo nie oferował miłości. Chyba postradała zmysły.

- Perspektywa kontroli w ogóle cię nie kusi? Przemknęło jej przez głowę, żeby skłamać i powiedzieć „tak”, ale wiedziała, że dolałaby tylko oliwy do ognia. Poza tym musiała być tak szczerą, jak tylko się da. Mogłaby zaplątać się w sieć kłamstw. Dopóki nie zapyta jej wprost, czy go kocha, jest bezpieczna. Lecz on nie mówił o miłości.

- Nie, wcale. Podrapał się po głowie.

- To o co chodzi, na Boga?

- Nie ma sensu o tym mówić.

- Ależ owszem, jest, bo ja nic nie rozumiem. Tak wiele nas łączy. Oboje kochamy ranczo i wspomnienia z nim związane. Oboje chcemy mieć dzieci.

- Dzieci? To o to ci chodzi? Chcesz mieć dzieci, a ja jestem akurat pod ręką i mam wszystko, co ci do tego potrzebne?

- Pewnie, czemu nie?

Teraz zrozumiała. Des wiele w życiu osiągnął. Zdobył pozycję w zawodzie, był zabezpieczony finansowo. Ale przede wszystkim osiągnął wiek, gdy mężczyzna zaczyna

myśleć o dzieciach, którym przekazałby swoje nazwisko, swoje geny.

- A jaki to ma związek z tym, że się nie zabezpieczyliśmy?

- Nie myślałem o tym.

- Des, nie jestem w ciąży. Wiem to na pewno. Chciała tego z całego serca, ale wiedziała, że nie jest. Kilka godzin temu zaczął się jej okres.

- Szkoda. Ale po ślubie mogłabyś zajść w ciążę. Czemu nie, Kit? Pomyśl o tym. Czy nie chciałabyś, żeby po B&B biegła mała dziewczynka z kręconymi rudymi włosami i lśniącymi zielonymi oczami?

Prawdę mówiąc, pragnęła dziecka, tak bardzo, że niemal czuła jego zapach. Wychowałaby to dziecko w atmosferze miłości, a nie strachu. Małą dziewczynkę. Albo bystrego, ciemnowłosego chłopczyka podobnego do ojca.

- Pomyśl o tym, jaka byłaby szczęśliwa w chwili, gdy dostałaby swojego pierwszego kucyka. - Jego głęboki głos dudnił jej w głowie. - Pomyśl o zadziwieniu, jakie by czuła, oglądając po raz pierwszy narodziny cielaka. Pomyśl o małej dziewczynce, która kochałaby tę ziemię równie mocno, jak ty i ja.

Czuła, jak traci siły.

- Mówisz o małżeństwie z rozsądku - powiedziała desperacko. - Żadne dziecko nie powinno przyjść na świat w rodzinie bez miłości.

- Nasze dziecko byłoby kochane.

- Oczywiście, że tak. Ale on czy ona by wiedziała, Des. Potrafiłaby wyczuć, że coś jest między nami nie tak. Może na początku nie wiedziałaby co. Ale później, kiedy byłaby starsza, zrozumiałaby, że między nami nie ma miłości. Uwierz mi, to by ją unieszczęśliwiło.

- Nie, gdybyśmy byli najlepszymi przyjaciółmi, a ja, Kit, uważam cię za przyjaciółkę.

Nie mogła znieść tego wiercenia dziury w brzuchu już ani chwili dłużej. Jeszcze trochę i się złamie.

- Nie potrafisz zaakceptować odmowy, Des? Powiedziałam „nie”. Po prostu „nie”.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Był zdruzgotany.

- Skoro tak stawiasz sprawę, to chyba nie mam wyjścia.

Kit nie mogła spać. Nie mogła przestać myśleć o Desie. Wracało do niej każde jego słowo, tak samo jak każde dotknięcie. A przede wszystkim wciąż wracały do niej wspomnienia wspólnych nocy.

Wierciła się przez długie godziny. W głowie brzmiały jej słowa oświadczeń. Czy postąpiła słusznie, odmawiając?

Gdyby za niego wyszła, ból zrobiłby się nie do wytrzymania, bo wiedziałaby, że on jej nigdy nie pokocha. Była za słaba, by żyć z tym dzień po dniu.

Ale życie bez niego też wydawało się nie do zniesienia. Jedynym pocieszeniem było to, że on nie będzie się budził codziennie z poczuciem, że siedzi w klatce. Będzie wolny, na wypadek, gdyby się kiedykolwiek naprawdę zakochał.

Pytanie tylko, który ból będzie większy?

Kręciła się po domu, gdy zaczęło świtać. Wyprowadziła Dię na przejażdżkę. Koń rozkoszował się galopem, jego jasna grzywa i ogon powiewały na wietrze, a długie nogi z łatwością pokonywały odległość.

Przypomniwała sobie ze smutkiem, że kiedy ostatnio na nim jechała, była inną osobą. Teraz była dojrzała, rozumiała, co to jest miłość, poznała rozkosz i ból, jakie może ze sobą nieść to uczucie. Wtedy jej się wydawało, że ma życie pod kontrolą. Czowała się młoda i silna.

A teraz czuła się stara.



Wiatr przeczesywał jej włosy, chłodne powietrze kąsało skórę. Bez względu na to, jak daleko i jak szybko jechała, nie umiała odpowiedzieć na pytanie.

Wiedziała tylko jedno. Odrzucając propozycję małżeństwa, uraziła męską dumę Desa. To było nieuczciwe. Przynajmniej to jest mu winna. Prawdę.

Zawróciła Dię i pojechała w stronę domu.

- Kit?

Obejrzała się przez ramię, po czym wróciła do szczotkowania Dii. Próbowwała w ten sposób zebrać siły na konfrontację z Desem.

- Cześć, Tio. Tio zaczął pracować na ranchu jeszcze przed jej urodzeniem.

Tu był jego dom. Należał do tych mężczyzn, po których nie widać wieku. Jego skóra była ciemna i stwardniała.

- Jak się masz?

- Doskonale. - Podszedł do niej powoli, zdjął kapelusz i z powrotem go włożył. - Gratulacje z powodu znalezienia zabójcy Cody'ego.

- Dzięki.

- Wszyscy tu wiedzieliśmy, że to nie ty.

Wrzuciła szczotkę do wiaderka i poklepała Dię po szyi.

- Dzięki za wiarę we mnie, Tio. To dla mnie bardzo dużo znaczy.

- Och, nie byłem wyjątkiem. Mam nadzieję, że o tym wiesz. Większość z nas wierzyła w twoją niewinność. Tylko że...

Najwyraźniej Tio nie przyszedł tak sobie. Miał coś do powiedzenia. Zamknęła Dię w boksie.

- Tylko? Tio pokręcił głową.

- Ten cholerny szeryf. Muszę powiedzieć, że rzadko obdarzam ludzi antypatią tak od razu, na wstępie, ale ten gość nie przypadł mi do gustu.

Uśmiechnęła się.

- Wiem, co masz na myśli.

- Tak. - Rozejrzał się dookoła. - Dlatego coś zrobiłem.

- Co?

- No, wiesz. Byłem przed stajnią, kiedy wyjechałaś po kłótni z Codym. Kiedy potem wszedłem do środka i znalazłem Cody'ego... - Zacisnął wargi i znowu pokręcił głową. - Mówię ci, byłem zaszokowany.

- Wyobrażam sobie - powiedziała ze szczerą sympatią. Jednocześnie łamała sobie głowę nad tym, co też on jej próbuje powiedzieć.

- I leżała tam łopata. Wielka i cała we krwi.

- Widziałeś narzędzie zbrodni?

- O, tak. Nie byłem w końcu tak daleko od niego.

- Tio, nie udało się go odnaleźć.

- Tak, wiem. Bo widzisz, ja często czytam kryminały. I bardzo je lubię. Więc jak zobaczyłem tę łopatę, od razu mi przyszło do głowy, że nikt nie będzie miał krzywdy, jak ją ukryję do czasu, gdy się okaże, w którą stronę wieje wiatr. Otworzyła usta.

- Ukryłeś ją? Poprawił kapelusz.

- Pewnie. Widzisz, pamiętałem o twojej kłótni z Codym i o tym, że się kręcisz w tej stajni. No i nie byłem pewien, co się dokładnie wydarzyło. Uznałem, że najlepiej będzie schować to cholerstwo. Przynajmniej na jakiś czas. Więc wziąłem i zakopałem pod skałami w wąwozie. A kiedy szeryf zaczął się tu szarogęścić i próbował zrzucić winę na ciebie, wiedziałem, że dobrze zrobiłem. - Wzruszył ramionami. - A potem zaczął padać śnieg.

Patrzyła na niego bez słowa, kompletnie osłupiała.

- Nie widzę powodu, żeby to teraz odkopywać - dodał Tio.

- Tio, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że gdyby szeryf to znalazł, miałbyś poważne kłopoty?

- Nie myślałem o tym.

- Byłabym bardzo nieszczęśliwa, gdyby do tego doszło.

- Ale nie doszło. Podeszła do niego, poddając się impulsowi, i uściskała

mocno. Ku jej zaskoczeniu, zaczerwienił się.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo sobie cenię twoją lojalność. Uśmiechnął się od ucha do ucha, cofnął i dotknął krawędzi kapelusza.

- Zawsze do usług.

Wciąż oszołomiona informacjami Tio, Kit zadzwoniła do drzwi Desa. Ostatni raz była w tym domu na krótko przed śmiercią jego ojca. Dziękować Bogu, po śmierci swojego ojca dorastała pod okiem wuja Williama. Był dla niej taki kochany, taki miły. Już choćby z powodu szacunku dla wuja Williama powinna wyznać Desowi prawdę. A przecież nie potrzebowała dodatkowych powodów. Potrzebowała odwagi.

Des otworzył drzwi ubrany tylko w dżinsy. Całe życie spędziła na ranczu, gdzie dżinsy były normą, ale Des wyglądał w nich lepiej niż jakikolwiek inny mężczyzna. Czują, jak opuszcza ją odwaga.

Des zmarszczył brwi na jej widok.

- Coś się stało?

- Nie. Mogę wejść?

- Po co?

- Mam ci dwie rzeczy do powiedzenia. Jedna dotyczy niesamowitej rozmowy, którą właśnie odbyłam z Tio.

- A interesuje mnie to z powodu...? Nie ułatwiał jej zadania.

- Bo to ma związek z morderstwem. Natychmiast odsunął się z przejścia i wskazał na jedne z drzwi.

- Wejść do gabinetu.

Stłumiła westchnienie. Kiedy tylko weszła do środka, otoczyło ją znajome ciepło. Wielkie biurko wuja Williama stało tam gdzie zawsze. Duże okna wyglądały na ośnieżony pejzaż i wpuszczały do środka poranne słońce. Przy płonącym kominku stało zniszczone, obite skórą krzesło. Na stoliku obok leżała cała kolekcja fajek i pudełko z tytoniem. Ten pokój emanował spokojem.

- Widzę, że nic nie zmieniłeś.

- Nie widziałem powodu.

- Ja też bym nic nie zmieniała.

- Wspomniałaś o Tio. Chciał, żeby przeszła do rzeczy.

Tym razem nie udało się jej powstrzymać od westchnienia.

- Tak. Kiedy wróciłam z przejażdżki, Tio mnie znalazł i powiedział, że ukrył łopatę, którą Mike uderzył Cody'ego.

- Żartujesz.

- Nie.

- Dlaczego to zrobił?

- Z lojalności wobec mnie. Potarł dłonią świeżo ogolony policzek.

- Nie pomyślałem nawet o takiej ewentualności, ale teraz widzę, że to ma ręce i nogi.

- Tio powiedział też, że nie spodobał mu się szeryf.

- Ma dobry gust. Uśmiechnęła się.

- To dobry człowiek.

- Więc gdzie jest ta łopata?

- Gdzieś w wąwozie. Wątpię, czy ją kiedykolwiek znajdziemy. Zresztą nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy w ogóle jej szukać.

- Ja też nie. - Spojrzał na nią podejrzliwie. - Masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

Kiwnęła głową. Teraz albo nigdy.

- To ma związek z wczorajszymi oświadczeniami.

- Powiedziałaś wszystko, co było do powiedzenia.

- Nie powiedziałam ci, dlaczego naprawdę odmówiłam. Skrzyżował ramiona na piersi.

- Nie musisz. Powiedziałaś „nie”. To wystarczy aż nadto.

- Nie rozumiesz.

- Och, odmowę rozumiem doskonale. Na początku próbowałem cię przekonać, ale w końcu to ty mnie przekonałaś. Nie potrzebuję dalszych wyjaśnień.

- Dobrze, ujmę to w ten sposób: Nie powiedziałam ci całej prawdy. Myślę, że na nią zasługujesz.

- Jednego się nauczyłem, będąc prawnikiem. To, na co ktoś zasługuje, to zupełnie coś innego niż to, co dostaje.

Musiała go w ten lub inny sposób zmusić do tego, żeby jej wysłuchał.

- Des, ja cię kocham. Zesztywniał.

- Czy mogłabyś to powtórzyć?

- Kocham cię. Za bardzo, by zgodzić się na małżeństwo z rozsądku. To byłaby dla ciebie pułapka. Pewnego dnia się zakochasz, a wtedy miałbyś do mnie pretensje. Może nawet przeniósłbyś żal na nasze dzieci.

Odrzucił głowę do tyłu i zaczął się śmiać. Spodziewała się wszystkiego, ale nie tego.

- Des? - zapytała cicho. - Dlaczego się śmiejesz?

- Skarbie, powinniśmy wszystkim życzyć takich problemów.

- Nie rozumiem.

- Jesteś bystra. Domyśl się. Nigdy w życiu nie czuła się bardziej głupio.

- Powiedz mi.

- Kocham cię, Kit. Kocham cię nieodwołalnie, kompletnie, do szaleństwa.

To niemożliwe. Z oczu popłynęły jej łzy, a do serca wkradła się nadzieja. Jednak przypomniała sobie o ostrożności.

- Jesteś pewien? Przyciągnął ją do siebie.

- Kocham cię, Kit Baron - powiedział chrapliwie. - Nasze małżeństwo nie zmieni twojego nazwiska, ale całą resztę zmieni na lepsze. Czy wyjdiesz za mnie?

Teraz ona zaczęła się śmiać ze szczęścia. Zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Może nie myślę za szybko, ale nie jestem kompletną idiotką. Oczywiście, że za ciebie wyjdę.

Pocałował ją, a ona oddała pocałunek, wkładając w niego całą duszę i serce.

## EPILOG

Wiosna wybuchła obfitością kolorów. Niedawno posadzone tulipany i żonkile trzymały wysoko swoje śliczne główki. Nowa altana udekorowana była girlandami z dzikich stokrotek. Stała na środku świeżo skoszonej łąki niedaleko od głównych zabudowań rancza.

Kit stała jak wmurowana przed lustrem w kącie sypialni. Miała rozpuszczone włosy, zgodnie z życzeniem Desa, ale nie była zadowolona ze swojego odbicia. Potrząsnęła rudymi lokami, obciągnęła satynową suknię ślubną w kolorze kości słoniowej i poprawiła wianek wiosennych kwiatów na głowie.

Za niej wysunęła się Tess.

- Kit, dajże już spokój. Nigdy nie byłaś piękniejsza.

- Ani bardziej promienna - dodała Jill, podchodząc z drugiej strony.

Kit uśmiechnęła się do lustrzanego odbicia swoich dwóch ciężarnych sióstr. Tess właśnie się dowiedziała, że jest w ciąży, Jill wiedziała od miesiąca.

Nie mogła się doczekać, kiedy zostanie ciotką. I matką. Ona i Des mieli zacząć nad tym pracować jeszcze tego wieczora. Na miesiąc miodowy jechali na wyspę, której właścicielem był Des i mąż Jill, Colin Wynne. Kit nie mogła się doczekać.

- Biorąc pod uwagę fakt, że terminów „piękna” i „promienna” użyłabym w odniesieniu do was, uważam to za wielki komplement.

Tess się zaśmiała.

- Teraz to mnie można opisać tylko na jeden sposób: zielona od porannych mdłości.

- Do twarzy ci w zielonym. - Kit wyciągnęła rękę. - Popatrzcie, trzęsę się.

- Nie masz powodu do nerwów - powiedziała Jill. - Des jest w tobie szaleńczo zakochany.

Tess wygładziła swój kok.

- To człowiek wielkiego formatu.  
- Wiem, wiem. Tylko nigdy nie myślałam, że wyjdę za  
mąż.

Tess skrzywiła się w uśmiechu.

- Teraz liczy się tylko jedno: żebyś powiedziała „tak”. Jill  
odwróciła Kit w ich stronę.

- Mamy coś dla ciebie.  
- Och, nie powinniście. Najważniejsze, że tu jesteście.  
Tak się z tego cieszę.

- Nie bardziej niż my.

Tess wyszła z pokoju, po czym zaraz wróciła z długim  
pudełkiem, w którym kryły się wspaniałe purpurowe irysy  
przewiązane satynową wstążką w kolorze kości słoniowej.

- Jill i ja byłybyśmy wniebowzięte, gdybyś niosła je jako  
bukiet ślubny.

Uśmiech błysnął w brązowych oczach Jill.

- Połowa jest z mojego ogrodu, a połowa z Tess. Kit aż  
jęknęła z zaskoczenia.

- Są przepiękne. To tak miło z waszej strony.

- To dar serca - powiedziała Tess. - Babcia Nicka  
namówiła mnie do założenia ogrodu i dała pierwsze irysy. A  
kiedy Jill wyszła za męża, ja dałam jej.

- Uwielbiam je - powiedziała Jill. - O dziwo, przyjęły się i  
rozmnożyły.

- A teraz chciałabyśmy, żebyś i ty je hodowała.  
Pomyślałyśmy, że najlepiej będzie, jak połowa będzie z  
mojego ogrodu, a połowa z ogrodu Jill.

- To wzruszające. Dziękuję. Rozległo się stukanie do  
drzwi.

- Kit? - zawołał Des. - Mogę wejść?

- Nie! - odpowiedziały trzy siostry zgodnym chórem. Jill  
podeszła do drzwi i rozmawiała przez nie z Desem.



- Co z tobą, Des? Przecież dobrze wiesz, że pan młody nie może zobaczyć panny młodej przed ślubem. To przynosi pecha.

- Nie wierzę w przesady - odpowiedział. - Poza tym ja i Kit sami sobie zbudujemy swoje szczęście.

Kit odłożyła bukiet na łóżko. Sam dźwięk jego głosu wystarczał, żeby przyspieszyć jej tętno. Wciąż nie mogła uwierzyć, że naprawdę zostanie jego żoną. Lecz to była prawda. Kiedy się zgodziła za niego wyjść, ofiarowała mu swoje serce. Wierzyła szczerze, że zawsze będzie się nim dobrze opiekował.

Jill spojrzała przez ramię na Kit.

- To zależy od ciebie. Kit się roześmiała. Nie mogła uwierzyć, że one tam stoją i debatują nad tym, czy ma zobaczyć Desę teraz, czy za piętnaście minut. Ona nie potrafiła odmówić mu niczego.

- Myślę, że on ma rację z tym szczęściem.

- Może i tak - przyznała Tess. - W końcu tak mało ludzi znajduje swoją drugą połówkę. A tobie i Desowi się udało, a jakby tego było mało, udało się również Jill i Colinowi oraz Nickowi i mnie. Wszyscy mamy wyjątkowe szczęście. Kit wskazała na drzwi.

- Więc otwórz. Des wszedł do środka, a ona poczuła, jak wali jej serce. Miał na sobie świetnie skrojony czarny garnitur i śnieżnobiałą koszulę. Chyba nie mógł wyglądać bardziej elegancko. A ona nie mogła go bardziej kochać.

Natychmiast podszedł do niej.

- Wyglądasz pięknie, Kit. Oczy przesłoniły jej łzy szczęścia.

- Ty też.

Zaśmiał się, a ona poczuła wzbierającą falę radości. Tess podparła się pod boki i przyjrzała surowo przyszłemu szwagrowi.

- No, dobrze, Des. Widziałeś ją. Teraz już idź. Jeszcze się na nią napatrzysz.

Z wyraźnym ociąganiem Des odstąpił od Kit.

- Marzyłem, żeby zobaczyć pannę młodą, ale to nie był jedyny powód mojego zjawienia się tutaj. Jeszcze przed ślubem chciałem odbyć małe spotkanie służbowe. Obiecuję, że to nie potrwa długo.

- Co?! - krzyknęła Tess. - Rozum cię opuścił? Weź się w garść. Dziś dzień twojego ślubu.

- Ona ma rację - powiedziała stanowczo Jill. - Nie będziemy dziś odbywać żadnych spotkań służbowych. Po waszym powrocie proszę bardzo, ale nie teraz.

Kit położyła mu rękę na ramieniu.

- Czy to naprawdę ważne, Des? Uśmiechnął się do niej.

- Poza oświadczynami to druga wyjątkowo ważna rzecz w moim życiu.

Ciemne brwi Jill uniosły się.

- Na Boga, o co chodzi?

Des wyciągnął z wewnętrznej kieszeni trzy złożone dokumenty.

- Mam prezent z okazji ślubu dla każdej z was.

- Dla każdej z nas? - zapytała Tess. - Nie wiem, skąd ten pomysł, ale zapowiada się interesująco.

- To mój własny pomysł. - Postukał papierami w otwartą dłoń. - Podzieliłem moje pięćdziesiąt procent udziałów w Baron International na trzy części, po jednej dla każdej z was.

Kit spojrzała na siostry. Były tak zaskoczone, że straciły mowę.

- Nie będę was teraz zanudzał detalami. Chciałem tylko powiedzieć, że od wczoraj, kiedy prawnik korporacji wypełnił dokumenty, każda z was ma równe udziały w firmie pod warunkiem, że podzielicie je także po równo między swoje

dzieci. Ten sam warunek będzie dotyczył waszych dzieci i tak dalej. Aż po wieczne czasy.

- Des - Kit poczuła łzy napływające do oczu - to taki wspaniały pomysł.

Jill i Tess patrzyły na niego zupełnie oszołomione. Wreszcie Jill odezwała się pierwsza.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś. Wręczył jej dokument, a potem podał je Kit i Tess. Żadna z nich nie była w stanie oderwać od niego wzroku.

- A co z tobą? - zapytała Jill. Parsknął śmiechem.

- O mnie się nie martwcie. Zrobiłem kilka niezłych inwestycji. - Spojrzał na Kit. - A gdybym zbankrutował, żona będzie mnie utrzymywać. Jill pokręciła głową.

- Nie o to mi chodziło. Wuj William chciał, żebyś to ty otrzymał jego udziały w firmie.

- Ojciec nauczył mnie przede wszystkim, żeby robić to, co się uważa za słuszne. Nie tylko by się zgodził z moją decyzją, ale jeśli teraz patrzy na nas z góry, to się do nas uśmiecha.

Kit pochyliła się do niego i cmoknęła go w policzek.

- Dziękuję, Des. To najwspanialszy prezent, jaki kiedykolwiek otrzymałyśmy.

W jego ciemnych oczach błysnęła miłość.

- Nie mógłbym mieć z tego większej przyjemności, kochanie. Do zobaczenia przed ołtarzem.

- Będę tam na pewno.

- Lepiej bądź - szepnął i dodał głośniejszym głosem: - Rozpoznasz mnie po niebieskim kwiatku w kłapie.

Posłał uśmiech Tess i Jill, po czym wyszedł, zamykając za sobą cicho drzwi.

- Zanim przyszedł, myślałam, że nie mogę być już bardziej szczęśliwa - powiedziała Kit, ocierając łzy. - Ale jestem.

- To dobrze, bo zasługujesz na całe szczęście tego świata  
- stwierdziła Tess. - Wszystkie zasługujemy.

Wzięła siostry pod ramię.

- Udało nam się. Przeszliśmy przez piekło, jakie stworzył nam ojciec. I przeżyliśmy. Nie dość na tym, dobrze się mamy. Możemy być z siebie dumne.

Tess stłumiła łzy.

- Masz rację.

- Zgadza się. - Jill zamrugała, sięgnęła po bukiet irysów i wręczyła go Kit. - Chodźmy. Colin i Nick czekają. Coś bardzo ważnego wydarzy się w altanie.

Kit zaniósła się śmiechem i wtuliła twarz w kwiaty, po czym ruszyła do drzwi. Czekala na nią przyszłość. Nie chciała zwlekać ani chwili dłużej.